AS



TANIEC NA LUSTRZE.

BRISSON I ROSITA, MISTRZOWSKA PARA TANECZNA HOLLYWOODU

NR. 1.

3 MARCA 1935 R.

CENA 40 GROSZY

KIEPURA NA FALI RADJA NIEMIEC I POLSKI



Jan Kiepura śpiewa w Berlinie podczas otwarcia polsko-niemieckiego Instytutu.
Fot. Scherl — Berlin.

Radjosłuchacze, którzy w poniedziałek wieczorem „złapali" którąkolwiek ze stacyj polskich lub niemieckich, byli świadkami uroczystego otwarcia polsko-niemieckiego Instytutu w Berlinie, uroczystości zorganizowanej na wielką skalę.

W sali marmurowej pałacu Zoo, ozdobionej flagami polskiemi oraz sztandarami Trzeciej Rzeszy, zgromadziło się przeszło 3.000 osób z przedstawicielami Polski — ambasadorem Rzplitej Lipskim i konsulem generalnym Staniewiczem oraz przedstawicielami rządu niemieckiego w osobach premjera



Prezydent ministrów Göring składa Kiepurze gratulacje po koncercie.
Fot. Wide World — Berlin.

pruskiego Göringa, ministra propagandy dra Goebbelsa oraz ministra pracy dra Seldtego. Kanclerza Rzeszy reprezentował podsekretarz stanu urzędu kanclerskiego dr Lammers.

Uroczystość rozpoczęła się przemówieniem rektora Politechniki w Charlottenburgu, będącego równocześnie kierownikiem wszechnicy Lessinga w Berlinie, przy której właśnie założono polsko-niemiecki Instytut.

Po nim zabrał głos R. P. Lipski, który w doskonale ujętem przemówieniu zakreślił program prac Instytutu.

Nastąpiła część koncertowa: znany pianista niemiecki Konrad Hansen odegrał utwory Chopina. Po chwili fala entuzjazmu ogarnęła salę. — Jan Kiepura wstąpił na estradę i odśpiewał kilka arji po polsku, po włosku i po niemiecku. Publiczność zmusiła mistrza tenorów do kilku naddatków.

Po akademji radjostacje niemieckie na życzenie swoich słuchaczy przedłużyły koncert, nadając do późnych godzin nocnych utrwalone na taśmie, a odśpiewane przez Kiepurę utwory.

Uroczystości polsko-niemieckie w Berlinie zakończyły się wspaniałem przyjęciem w ambasadzie polskiej, na którem zjawili się przedstawiciele świata politycznego, naukowego, artystycznego, a przedewszystkiem około stu czołowych przedstawicieli prasy niemieckiej i zagranicznej, akredytowanej w Berlinie. K.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ.
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY).



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

ADMINISTRACJA: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY).
TELEFONY NR. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

CENA NUMERU GROSZY 40

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

Numer 1 **Niedziela 3 marca 1935** **Rok I**

Fot. „As".

Na balu maskowym Prasy Sportowej, który odbył się pod protektoratem posła Marjana Dąbrowskiego, w niedzielę 17 lutego w Zakopanem, zwracał ogólną uwagę wśród kostjumów, uosabiających poszczególne wydawnictwa Koncernu „I. K. C.", niezwykle pomysłowy strój tygodnika „AS".

Na zdjęciu efektowne przybranie głowy kostiumu „Asa", odznaczające się oryginalną stylizacją.



HALLO! HALLO! CZY MÓWI SIĘ DALEJ?...

ŚWIAT W ROZMOWIE TELEFONICZNEJ PRZECIĘTNYCH LUDZI.

— Hallo, czy to pani panno Halino?

— Tak, panie Henryku... Co tam słychać w Krakowie...

— Ruch w literaturze... sypią się nagrody... Teraz ma być przyznana nagroda literacka miasta Krakowa — zdaje się, że ją przyznają autorowi „Kordjana i chama"...

— Co pan mówi — to znowu podzielą nagrodę...

— Jakto podzielą?

— No, bo „Kordjana" napisał Słowacki, a „Chama" — Orzeszkowa...

— Ale a propos Słowacki — spotkałem wczoraj tego Jalu Kurka... wie pani tego z grypą...

— Acha — wiem już, to ten, co wynalazł aspirynę...

— Ale — nie — laureat młodych... ten, co dostał za fragment...

— Jaki fragment? Fragment talentu?

— Nie, panno Halino... za fragment powieści... Otóż spotkałem go wczoraj na Skałce... rozmawiał z kościelnym i martwił się, że w grobach zasłużonych niema już miejsca...

— Widzi pan — wszędzie ten kryzys mieszkaniowy...



Fasada budującego się w Krakowie nowego gmachu Muzeum Narod. Fot. „As".

— A potem to dał kościelnemu dwadzieścia groszy i powiedział: „A możeby tak Asnyka trochę przesunąć"...

— No zupełnie słusznie... teraz są takie czasy, że jedni drugim powinni iść na rękę...

— A propos ręka... kiedy nareszcie zgodzi się pani oddać mi swoją rękę?... Tęsknię za panią... od chwili, kiedy pani wyjechała z Krakowa — wydaje mi się, że minęło...

„Trzy minuty — czy mówi się dalej"...

— Mówi się... to urzędowa rozmowa, niech pani nie przerywa! — Nie mogę doczekać się telewizji — mógłbym panią codzień oglądać w mym aparacie...



Premjer węgierski Gömbös w czasie jednej ze swych politycznych podróży. Fot. Atlantic — Berlin.

— A co tam grają w teatrze?

— Mąż trzystu tysięcy...

— Niemożliwe — trzysta tysięcy żon — to musi być mocny człowiek...

— Ależ tu chodzi o pieniądze...

— No pewnie, panie Henryku, komu dziś nie chodzi o pieniądze... Niedawno grali u was w Krakowie taką ciekawą sztukę „Pieniądz to nie wszystko, ale to więcej niż miłość"...

— Panno Halino — a propos miłość — czy wie pani, że spirytus potaniał.

— No widzi pan, a pan zawsze tak narzekał na rząd...

— Ale teraz zmieniłem zdanie — rząd robi co może dla bezrobotnych — mamy lekką zimę, potaniały pomarańcze, a teraz wódka... Mają obniżyć cła na samochody. Ale na tem nie koniec — ma jeszcze złoto potanieć...

— Złoto — w jaki sposób?...

— No bo nasz Dunikowski robi złoto z piasku...

— Robi złoto, to świetnie, to teraz będzie mógł pozłocić te swoje głowy na Wawelu...

— Panno Halino — po pierwsze to nie są głowy do pozłoty, a po drugie to nie ten rzeźbiarz Dunikowski — tylko alchemik...

— Wie pan, panie Henryku — mam pomysł —

— Niemożliwe...



Scena zbiorowa z komedji „Mąż trzystu tysięcy“ granej na scenie teatru Słowackiego w Krakowie.
Na lewo: Anatol Krakowiecki, znany literat, członek redakcji „I. K. C.“ i autor nowego opracowania scenicznego „Męża trzystu tysięcy“.



— Niech komitet budowy Muzeum Narodowego zaprosi tego Dunikowskiego na jeden występ w teatrze — narobi tyle złota, że zaraz będzie można zacząć budowę...

— To niezła myśl — bo już raz trzeba zacząć budować... zna pani tego mojego siostrzeńca Kazia — ma pięć lat — wczoraj szedł na Błonia i powiedział do swej bony: „Ach mój Boże, chciałbym dożyć tej chwili, kiedy zaczną budować Muzeum“...

— Mądry dzieciak...

— A jakże... wczoraj spojrzał na termometr i chwycił się za główkę i powiada: „Ojej — tak łagodnej zimy — to jak żyję nie pamiętam...

— Ja też nie pamiętam... ale teraz niech mi pan powie coś wesołego — kiedy znowu wojna?

„Sześć minut — czy mówi się dalej?“

— Mówi się... proszę nie przerywać... o wojnie ciągle się mówi w Europie i nikt nikomu nie przerywa. Panno Halu — a dlaczego pani się pyta o tę wojnę?

— Bo widzi pan, kupiłam sobie taki efektowny kostjum antiiperytowy i doskonałą maskę — mówią nawet, że bardzo mi w niej do twarzy, a ja się boję, że jak w tym nie będzie wojny, to na przyszły rok wyjdzie z mody...

— Niech się pani nie boi, panno Halino — maski gazowe nigdy nie wyjdą z mody w Europie...

— Panie Henryku — a propos moda — co się teraz nosi w Paryżu?

— W Paryżu noszą bomby po kieszeniach, chcieli teraz zamordować Schuschnigga — tego kanclerza Austrji.

— Panie, niech mi pan o tem nie mówi, ja nie lubię polityki... Niech mi pan już lepiej powie coś o miłości...

— Może o tych dwóch Niemkach, które w Berlinie straciły głowę dla pięknego Sosnowskiego...

— Ale to jeszcze nic. Włosi mogą niejedną głowę stracić w Abisynji... Wie pani co — prasa angielska domaga się nawet, żeby zwołać posiedzenie Ligi Narodów dla załatwienia konfliktu abisyńsko-włoskiego.

— A wie pan, że to szalenie ciekawe — pan ma taki miły głos — niech pan jeszcze mówi o tej Abisynji... jest tu u nas w dancingu jeden Murzyn i prosił już nawet pana ministra Bobkowskiego o pożyczenie jednego szybowca — chce lecieć na pomoc Abisynji — i wie pan co — chce zabrać mnie ze sobą, ale teraz są przeciwne wiatry... No, ale co tam jeszcze w wielkim świecie słychać?

— Najwyższy sąd Stanów Zjednoczonych uznał, że zniesienie klauzuli złota jest ważne...

— A to się Dunikowski zmartwi — oni mu wszyscy robią na złość. Czy pan słyszy — mój braciszek gra na patefonie Rapsodję Liszta — czy to nie piękniejsze niż cała polityka?... A propos! Co słychać na Węgrzech?

— Tam toczy się teraz zacięta walka polityczna o osobę premjera Goembesa... Przywódca partji chłopskiej Tibor...

— Acha Tibor v. Halmay — pamiętam go doskonale z „C. k. komendy serc“, ja to tak szalenie lubię...

— Ale to nie ten... to polityk... Tibor Eckhardt walczy o rewizję granic...

— Nie cierpię rewizji granicznych... ci celnicy są tacy ciekawi, jakby conajmniej byli kobietami...

— Ale tu chodzi o zmianę granic... otóż Węgry duszą się w swych małych granicach...

— To może im zastosować sztuczne oddychanie...

— Ależ... problem węgierski jest za trudny — zresztą nietylko dla pani — cała Liga Narodów nie mogła sobie z nim dać rady... Wogóle w Europie nikt sobie z niczem nie może dać rady — w Hiszpanji wywrotowcy prowadzą podziemną robotę, a partje rządowe kłócą się... W Belgji miał wybuchnąć wielki generalny strajk... No — ale niech mi pani teraz coś powie o sobie — o Zakopanem...

— Ach jak tu pięknie... niech pan sobie wyobrazi, tu pada nawet śnieg, bo mówią, że Zakopane to już jedyny rezerwat zimy w Polsce...

— Śnieg... śnieg... jakie to piękne... myśmy już tak dawno śniegu nie widzieli — niech mi pani opowie, jak taki śnieg wygląda... Bo u nas widzi pani — z tym śniegiem to jest tak jak z pensją — dostajemy raz na miesiąc, zaraz topnieje i potem do końca miesiąca już go nie widzimy...

— Szkoda, że pan niema w domu aparatu telewizyjnego — pokazałabym panu piękno Zakopanego.

Wyjazd wojsk faszystowskich na „front“ abisyński stał się powodem żywiołowej manifestacji ze strony ludności Rzymu. — Na zdjęciu zwraca uwagę portret „il Duce“, obnoszony przez żołnierzy włoskich na dworcu kolejowym.
Fot. Sennecke — Berlin.



Kanclerz Austrji Schuschnigg (pierwszy od prawej) w gościnie u rządu francuskiego. — Od lewej: Min. spraw zagran. Austrji Waldenegg, min. Laval i premjer Flandin.

Fot. Sennecke — Berlin.



Laureat nagrody młodych P. A. L., Jalu Kurek, członek redakcji „I. K. C.".

Fot. „As".

— No i mógłbym panią zobaczyć...

— Kto wie — czy niedługo nie będziemy już rozmawiali przy pomocy aparatu telewizyjnego...

— A wie pani co — to doskonały pomysł — na przyszły tydzień zainstaluję sobie w domu aparat telewizyjny i będę widział, co się dzieje w Zakopanem...

— Panie Henryku... pan mnie chce szpiegować... pan mi nie wierzy...

— Panno Halino — panno Halu — hallo! hallo! — co się dzieje?...

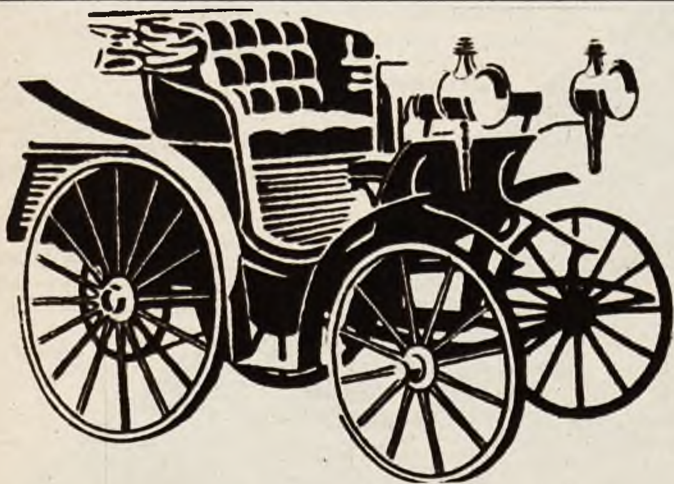
„Przerywam! — linja jest zajęta dla ważnej rozmowy urzędowej".

ROZMOWA URZĘDOWA.

„Dziubasku najdroższy — w sobotę przyjeżdżam na inspekcję do Zakopanego — żeby wszystko było w porządku"...

Mikrofon.

PRZED ✶ LATY ✶ I ✶ DZIŚ



Od 5 km na godzinę do rekordu »NIEBIESKIEGO PTAKA«

Już na długo przed pierwszemi skrystalizowanemi formami niespodziewanych wypadków i wydarzeń dały się odczuć denerwujące wstrząsy, które zaniepokoiły świat. I wreszcie obudziły go i pchnęły naprzód, na spotkanie XX wieku.

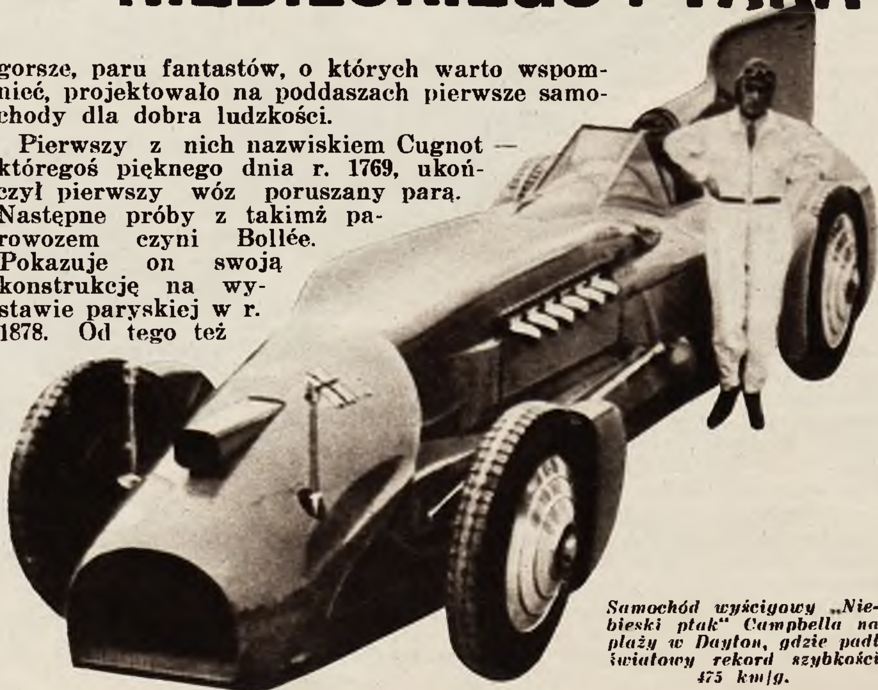
Gazety były w tym czasie pełne notatek: „W okolicy Provins — krowy napadły na automobil. Pasażerowie zdołali się uratować". „Automobil, jadąc niepowstrzymanym pędem z zawrotną szybkością 15 km. runął na drewniany płot...

Wreszcie osądzono: „Samochody zagrażają wielkiem niebezpieczeństwem. Samochód pędzi niepowstrzymany dokąd jest kierowany, gdy koń sam niejako udział w kierowaniu bierze i zatrzymuje się instynktownie wobec napotykanych przeszkód. Trudności te zdoła niewątpliwie pokonać technika przez udoskonalenie hamulców i kierowników. Tymczasem jednak samochody są powodem wielu nieszczęśliwych wypadków"...

Taką była nieomal ostatnia pochwała konia i jego ciężkiego roboczego chomonta, nałożonego przez człowieka.

Nim jednak rozszalały się dzienniki nienawiścią, zarzucając maszynie wszystko co najgorsze, paru fantastów, o których warto wspomnieć, projektowało na poddaszach pierwsze samochody dla dobra ludzkości.

Pierwszy z nich nazwiskiem Cugnot — któregoś pięknego dnia r. 1769, ukończył pierwszy wóz poruszany parą. Następne próby z takimż parowozem czyni Bollée. Pokazuje on swoją konstrukcję na wystawie paryskiej w r. 1878. Od tego też



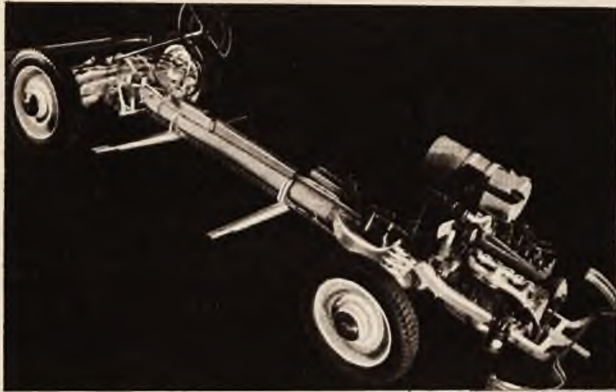
Samochód wyścigowy „Niebieski ptak" Campbella na plaży w Dayton, gdzie padł światowy rekord szybkości 475 km/g.

spojrzenie z nad chmur...



Presse-Photo — Berlin.

Zerwana przez wicher powłoka chmur, umożliwiła fotografowi unoszącemu się na wysokości około 3000 mtr. w balonie, na dokonanie zdjęcia stalowni w Goldberg (Meklemburgja), które jak to powyżej widzimy, pracują „pod pełną parą". — Zwraca uwagę dym z kominów, który niemal w pionie wznosi się aż po powałę utworzoną z chmur.



Nowoczesne podwozie rurowe. Motor umieszczony ztyłu pojazdu.

czasu rozpoczęły się próby i udoskonalenia. Oto pierwsze jaskółki. Zabawne zapowiedzi miljonowych produkcyj.

Tymczasem po romantycznych drogach starej Anglji przebiegać poczęły coraz częściej omnibusy lub duże faetony familijne, poruszane parą lub elektrycznością. W tych czasach łatwo można było być wyproszonym z salonu — jako człowiek szalony — poprostu „warjat z mokrą głową“, uznający wozy bez koni.

Wkońcu prób z wspomnianemi wozami zaniechano. Przekonano się, że aby elektryczny samochód mógł przebyć przestrzeń 70 km., musiałby posiadać akumulatory wagi 700 kg. Prąd był zbyt drogi, a rezerwoar energji za ciężki.

Przychodzi r. 1883. Gottlieb Daimler — inżynier niemiecki — konstruuje motor, który raz na zawsze rozwiąże kwestję napędu dla motocykli, automobili, sterowców, łodzi motorowych i samolotów. W r. 1886, G. Daimler, zadziwił świat swym oryginalnym spacerem, który odbył w samochodzie.

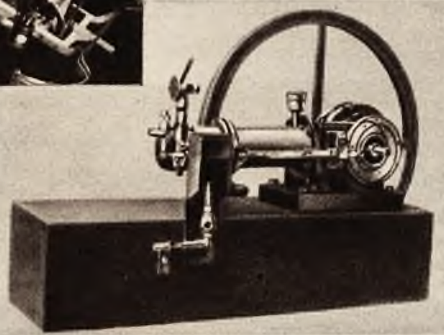
Fabryka francuska Panhard- Levasseur zakupuje natychmiast patent motoru od Daimlera. Ci panowie rozumieją jasno doniosłość wynalazku. W cztery lata potem, w r. 1890, ukazuje się pierwszy samochód Panhard-Levasseur na zdumionych bulwarach paryskich.

I znowu mijają cztery lata. W r. 1894 odbywają się pierwsze wyścigi samochodowe na trasie Paryż-Rouen — na przestrzeni 110 km.

Szybkość samochodu można regulować zapomocą przekładni od 5 do 25 km. na godzinę. Oto co nazywa się „z wichrem w zawody“.— Motory posiadają przeważnie siłę 4 do 16 HP.

Paryż przeżył zbyt wiele, aby się temu nowemu szaleństwu dziwić. Jednak potrafi on surowo ganić. Władze miejskie zabraniają tu i ówdzie jeździć z szybkością większą, jak 5 km. na godzinę.

Przed dom adwokata Emila Zoli w Paryżu, zajeżdża dychawiczny automobil. Zola zasiada odważnie na foteliku obok szofera pod jedwabnym baldachimem i z determinacją opuszcza okulary na zaniepokojone oczy. Samochód potyka się na zakrętach, podskakując, zatacza się do rowów, jednak dojeżdża szczęśliwie do Wersalu. Sławny powieściopisarz Zola — zapytany o wrażenia — entuzjazmuje się nowym wynalazkiem. Ale ten Zola nie jest człowiekiem współczesnym. On żyje tem, co będzie. Nie trzeba się więc dziwić jego entuzjazmowi dla maszyny, który będziee udziałem dopiero następnego pokolenia.



Pierwszy motor Daimlera z r. 1883.



Nowoczesny autobus o linjach aerodynamicznych.



Wypowiedziano walkę przestrzeni. Co roku słyszy się o nowych rekordach. 30 — 40 — 75 — 150 — 165 — 200 km. na godzinę. Czas mija.

Na wieży Eiffla niewolno nalepiać reklam. Tymczasem na długo jeszcze przed pomysłowym panem Citroen'em, który urządzał na tym pomniku stalowych konstrukcyj — swe termometry, krwawe wodotryski i nocne fajerwerki, reklamujące fundament jego potęgi — małe wózki 4 HP, otóż na długo jeszcze przedtem — pewna firma umieściła na stalowym kolosie, w widocznem miejscu swą reklamę. Oczywiście bez porozumienia z magistratem miasta Paryża naklejono ten papierek wielkości znaczka pocztowego. W rezultacie dochodzenia, wysoka grzywna i kolosalna reklama, gdyż wszystkie pisma paryskie zainteresowały się procesem, wymieniając strony poróżnione.

To początek reklamy samochodów i konkurencyj w tym przemyśle. W odpowiedzi inny fabrykant rozbija swym wozem zabytkowną bramę przy jednej z ulic Berlina i odjeżdża „o własnych siłach“ do garażu.

— Samochód jest bezpieczny i trwały — krzyczą.

— Samochód jest jednak drogi!...

— Ale mój model „A“ będzie dostępny dla wszystkich — odpowiada zza Oceanu Ford i przystępuje do masowej produkcji.

Konstrukcja pierwszych samochodów została w zasadzie dotychczas nie zmieniona. Udoskonalono tylko szczegóły, materjał, formę.

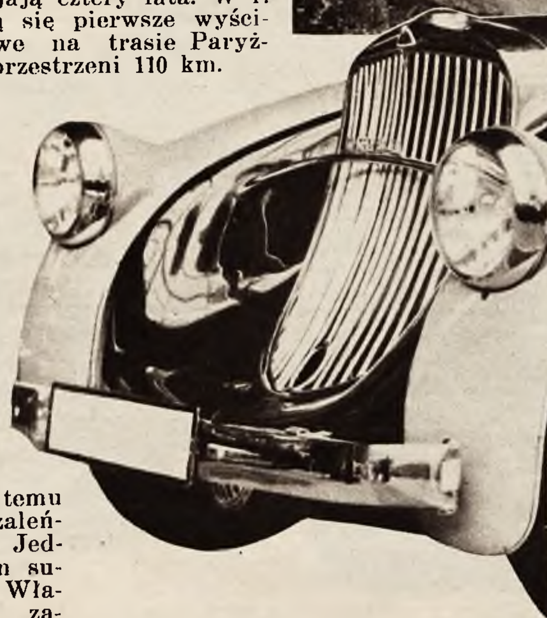
— 150 samochodów.

— 4000 samochodów.

— 40 miljonów samochodów — mówią statystyki.

Jeden z pierwszych autobusów parowych W. Church'a, który kursował w r. 1832 między Londynem i Birmingham, zabierając 22 do 24 pasażerów.









U góry: Nowy model samochodu osobowego. Od lewej do prawej: Pierwsza taksówka Daimlera z r. 1893. — Dr. Karol Benz (x) siedzi w jednym z samochodów swej konstrukcji z r. 1891.

Cena wywoławcza Forda za model „A" — 900 dolarów — spada do 300. Rok 1935. Mamy około tysiąca fabryk samochodów na świecie. W Stanach Zjednoczonych jeździ 24 miljony aut — co stanowi jeden wóz na pięciu mieszkańców. W Anglji 1 miljon aut. W Polsce 20 tysięcy, co stanowi jedną maszynę na 1.750 mieszkańców.

Świat buduje automobile, autostrady — produkuje kauczuk, ropę, stal. Tysiące inżynierów wysila swe mózgi. Fabryki wysyłają szpiegów do konkurencyjnych fabryk. Pieniądz toczy się. Zwycięski samochód warczy i korowodem otacza świat.

Przed nami nowoczesny samochód o aerodynamicznych linjach. 200 HP., kompresor, synchronizowana skrzynka biegów, motor wolno wiszący, wolny bieg, niezależne sterowanie.

Przestrzeń kapituluje. Ostatni rekord szybkości Campbella 475 km. na godz.

Oto czego dopiął XX wiek!

J. M. B.

WIKTOR KELEMEN.

BONAPARTE



ILUSTRACJE ALFREDA ŻMUDY.

(Jaffa, miesiąc rewolucyjny Ventose, rok 1799. Pokój, z którego okien widzi się morze. Widać, że zmieniony on został na prędce w siedzibę sztabu generalnego. Na stole leżą duże mapy, na których pozatykane są szpilki z chorągiewkami. Na drugim stole różne papiery i książki).

Bourrienne (rozglądając się): Oddawna już nie mieliśmy tak eleganckiej kwatery!

Bonaparte (ubrany jest w skromny mundur. Rzuca kapelusz i szpicrutę na stół. Bourrienne i dwaj kanceliści, wstają).

Bonaparte: Siadaj pan. Podyktuję panu trzy krótkie listy (Bourrienne i dwaj kanceliści siadają przy długim stole. Bonaparte przemierza kilka razy milcząco pokój. Naraz zatrzymuje się przed Bourriennem).

Bonaparte: Niech pan pisze, Bourrienne. Dnia 17 Ventose. Do Dyrektorjum w Paryżu. Jako głównodowodzący armji egipskiej melduję, że wczoraj zdobyliśmy po zaciekłej walce Jaffę w szturmie. (Do pierwszego kancelisty). Niech pan pisze do mojej żony. Droga Przyjaciółko! Przesyłam Ci pozdrowienia z ziemi egipskiej. Niestety od dawna nie miałem od Ciebie wiadomości. Wieści, które doszły do mnie drogą okrężną bardzo mnie zasmuciły... (Do drugiego kancelisty): Do Institut de France, Paryż. Obywatele! Poszukiwania naukowe, które rozciągają się na cały Egipt zmierzają planowo do swego celu. Dzielny Monge, Laplace, Bertholles, kierują robotami. (Do Bourrienne'a): Niech pan pisze Bourrienne. Nieprzyjaciel stracił tysiąc pięćset żołnierzy. W cytadeli poddało się trzy tysiące Turków. Wkrótce podejmiemy ofensywę. (Do pierwszego kancelisty): Mam nadzieję Józefino, że w tych wiadomościach znajduje się więcej ludzkiej złośliwości, jak prawdy. Od Ciebie spodziewam się, że będziesz prowadzić życie godne mojej osoby. (Do drugiego kancelisty): Nasi uczeni studjują faunę i minerały Nilu, jakoteż Czerwonego Morza, skład piasku pustynnego, możliwości eksploatacyjne jezior, posiadających natron, powody egipskiego zapalenia oczu i cholery. Stworzyłem projekt kanału celem połączenia morza Śródziemnego z Czerwonem... (Do Bourrienne'a): Ale moje sukcesy mogę tylko wtedy wykorzystać, jeżeli mnie poprze dyrektorjum. Obywatelu Barras, proszę o posiłki! Żołnierzy, amunicje, ekwipunek i prowiant! (Do pierwszego kancelisty): Mówiąc o sobie, muszę powiedzieć, że największem mojem przeżyciem była możność stanięcia przed Sfinksem. (Do drugiego kancelisty): Melduję nakoniec, że niedawno temu jeden z moich oficerów sztabu przywiózł z Rosette płytę granitową, na której poza pismem klinowem znajduje się również tłumaczenie greckie. Jest więc nadzieja, że wkońcu zdołamy zedrzeć zasłonę tysiącletnich tajemnic Egiptu. (Mówi zmienionym głosem): Skończyliśmy Obywatele. (Bourrienne i dwaj kanceliści wstają od stołu). Możecie iść. (Napoleon Bonaparte siada przy stole, zagłębia się w badanie mapy).

Bourrienne: Obywatelu generale, jaką lekturę mam przygotować na wieczór?

Bonaparte: Koran (zaczyna w dalszym ciągu studjować mapę, Bourrienne i kanceliści wychodzą).

II.

(Namiot Bonapartego. Stoły, krzesła i łóżko polowe).

Bonaparte: Zgromadziliśmy się tutaj na propozycję obywatela generała Klébera, aby postanowić o losach jeńców.

Kléber: Przedwczoraj, gdyśmy zdobyli fort, wzięliśmy w niewolę trzy tysiące jeńców. Ci ludzie sprawiają kłopot.

Bonaparte: W takiem położeniu, jak nasze jest lekkomyślnością brać jeńców.

Reynier: Przyjrzyjmy się po porządku różnym możliwościom.

Lannes: O wyżywieniu tych ludzi niema mowy. Nasi właśni żołnierze głodują. I tak panuje niezadowolenie wśród naszych żołnierzy z odżywiania jeńców. Jeżeli porcje będziemy w dalszym ciągu zmniejszać, za nic nie odpowiadam.

Marmont: Potrzebujemy conajmniej tysiąca ludzi, aby pilnować jeńców. Nasza armja jest mała, znajdujemy się w obcym kraju i nieprzyjaciel ma przewagę liczebną.



W tejże samej chwili kapitan chwyta za rękojeść szabli...

Junot: Nie możemy ich odesłać do Francji. Od bitwy pod Abukir jesteśmy odcięci od naszego kraju, okręty nasze zginęły.
Kléber: Gdyby Turcy byli wzięli francuskich jeńców, moglibyśmy ich wymienić. Lecz niestety nieprzyjaciel nie wziął żadnych jeńców.
Reynier: Nie można myśleć o ich wypuszczeniu. Dodalibyśmy nieprzyjacielowi sił.
Bonaparte: Co radzicie, przyjaciele? (Długie milczenie).
Bon: Niema innej rady, jeńców trzeba zabić.
Bonaparte: Nie, nie pozwolę nato.
Kléber (ruszając ramionami): Trudno, to jest wojna.
Bonaparte: Pogardzam i brzydzę się niepotrzebnym rozlewem krwi.
Lannes: Niema dla nas innego ratunku.
Bonaparte: Ludzie ci powierzyli naszemu honorowi swoje życie.
Marmont: Jest kwestją, co jest ważniejsze, nasze życie, czy życie jeńców?
Bonaparte: Zapewniliśmy im naszą łaskę. Nie możemy stać się zbrodniarzami.
Junot: Turcy przed kilkoma dniami zamordowali naszych parlamentarzy!
Bonaparte: Są barbarzyńcami, a my jesteśmy żołnierzami rewolucji!
Bon: Pozostawmy prawu wojennemu wolną drogę. Obrońcy zdobytej placówki stracili prawo do życia.
Wszyscy: Tak jest.
Bonaparte: Nie chcę tego!
Kléber: Obywatelu generale, co chcesz zrobić?
Bonaparte: Chcę trzech dni do namysłu.

III.

(Namiot Napoleona).

Oficer turecki (stary, siwy człowiek): Dziękuję ci obcy generale, że chcesz mnie wysłuchać. Ten grenadjer zabił jednego z moich towarzyszy. Wiem, że zwycięzca ma wszelkie przywileje. Ale nawet, gdyby mnie to życie kosztowało, protestuję przeciwko tej podłości.
Bonaparte: Jesteś dzielnym człowiekiem. Sprawiedliwości stanie się zadość. (Daje znak dwom grenadjerom, którzy odprowadzają tureckiego oficera).
Bonaparte: Kapitanie, sprowadź winowajcę. (Kapitan woła zza namiotu dwóch gwardzistów, którzy wprowadzają grenadjera).
Bonaparte: Znowu coś przeskrobałeś, Leblanc! Jak to było?
Leblanc: Było to tak, obywatelu generale, że zostałem odkomenderowany do pilnowania jeńców. Zobaczyłem, że jeden z tych oficerów miał na szyi piękny złoty medal. Poco ci to? — pomyślałem sobie. Powinienem mieć przynajmniej trochę pożytku z tej sławy! — rzekłem do oficera. — Daj mi twoje złoto, a dam ci w zamian chleba. Ledwo się trzymał na nogach z głodu i zgodził się. Wyprowadziłem go wieczorem na wydmę piaszczystą, a potem ciało wyrzuciłem do bagna.
Bonaparte: Kapitanie, załatwcie się z tym człowiekiem.
Kapitan: Wybacz obywatelu generale...
Bonaparte: Nie zniosę żadnych rabunków i łajdactw! Muszę go przykładnie ukarać!
Kapitan: Pozwalam sobie zauważyć... przecież chodzi tutaj tylko o jeńca. Ostatecznie i tak będziemy musieli ich zabić. Jeżeli Leblanc załatwił się z nim na własną odpowiedzialność, to nie zasłużył jeszcze na śmierć.
Bonaparte: Jeńców nie będziemy zabijać. Gdybyśmy ich nawet zabijali, nie byłoby to żadnem wytłumaczeniem podłego czynu Leblanca.
Kapitan: Armja się zrewoltuje, skoro się dowie o straceniu Leblanca.
Bonaparte (ostro): Proszę wykonać rozkaz!
Kapitan: Obywatelu generale, wydaj rozkaz komu innemu...
Bonaparte: Kapitanie... (Łapie za szpicrutę. W tejże samej chwili kapitan chwyta za rękojeść szabli. Następuje pełna grozy cisza).
Bonaparte (spokojnie): Pojedzie pan natychmiast do Kairu i będzie oczekiwać moich rozkazów.
(Kapitan salutuje i odchodzi).

IV.

(Obóz wieczorem. Porozrzucane namioty, niedaleko rozpalony ogień).

Żołnierze: Biedny Leblanc! Rozstrzelany! Za jakiegoś podłego Turka! Hańba i wstyd! Zmniejszyli porcje, aby starczyło dla jeńców. Nie chcemy dłużej cierpieć, musi nas wysłuchać. Przecież tu wszyscy zdychamy, znosimy głód i pragnienie, chleb jest spleśniały, a woda nie do picia.
Podoficer: Ciągle tylko marsze i walki! Kurz, brud, upał, wszy, tyfus i cholera!
Kapral: Już nigdy nie zobaczę mojej żony i dzieci.
Żołnierze: Dosyć tego! Do domu, do Francji! Nie damy się dalej wodzić za nos! My mamy broń w ręku!
(Ukazuje się Bonaparte, wyrzekania uspakajają się).
Bonaparte: Dlaczego przestaliście mówić? Mówcie śmiało, co wam dolega? Przecie wszyscy jesteście mojemi dziećmi. Tak, słowa są tu niepotrzebne, znam wszystkie wasze myśli. Oburzacie się z powodu Leblanca? Czyż nie zasłużył na karę? Czy jesteście bohaterami nowej mitologji, czy też bandytami? Wiedzcie, że nie zostanę wodzem bandy rabusiów. (Protesty dają się słyszeć). Tak... dowiedziałem się ze zdziwieniem, że jesteście zmęczeni trudami wojennemi. Czy to możliwe? Przed cterema laty spłynęliście jak rwący potok na niziny włoskie. Ciężkie dni przyszły na nas, ale życie tylko wtedy ma wartość, gdy się burzy i pieni. Kto chce pyskować, niech przystanie do adwokatów, lub sprzedawców jarzyn, to też są zajęcia wcale porządne. (Kilku żołnierzy śmieje się). Każdego więc, który zmęczony jest walką wzywam, aby poszedł do domu. Ja oczywiście zostanę na miejscu i będę dalej walczył za ideę rewolucji, za oswobodzenie narodu. Kto chce iść niech się zgłosi.
Żołnierze: Zostajemy!
Bonaparte: A teraz ta sprawa z jeńcami. Nie wierzę, abyście chcieli ich pomordować. Pamiętajście, że honor narodu jest tu w grze, a pamiętajcie też, że i wy możecie się dostać do niewoli. Więc ani słowa więcej o tem.
Kapral: Gdyby tylko chleb był lepszy...
Bonaparte: Jem ten sam chleb, co każdy żołnierz i piję to samo, co on. (Siada koło żołnierza, kraje kawałek chleba i spożywa go). Mnie on zupełnie dobrze smakuje. Przynajmniej nie doczekacie się brzucha. (Żołnierze śmieją się i zaczynają jeść).
Wachmistrz: Ale woda jest okropna.
Bonaparte: Nalejcie mi tu wody. (Pije). Uważacie, że woda jest wstrętna? Jeszcze mnie nigdy żaden płyn tak nie orzeźwił. Kto się ze mną trąci?
Żołnierze (trącają się kubkami z Bonapartem). Niech żyje generał Bonaparte!
Bonaparte: A teraz pójdziemy spać. Piasek jest ciepły i miękki. Zupełnie jak kołyski, które matki nasze kołysały. Dobranoc dzieci! (Rozkłada płaszcz na ziemi, kładzie się i natychmiast zasypia. Żołnierze kładą się w piasku. Ognisko powoli zagasa).



Bonaparte siedzi nieruchomo

V.

(Namiot Bonapartego, oświetlony jedynie jedną pochodnią. Bonaparte siedzi nieruchomo na krześle. Bourienne siedzi przy stole i pisze. Długie milczenie. Po chwili wchodzi Junot).

Junot: Jenerale obywatelu! Trzy dni do namysłu przeszły. Jenerał Bon kazał odprowadzić jeńców nad brzeg morski i oczekuje twoich rozkazów, obywatelu generale.
(Bonaparte kiwa głową na znak zgody).
(Junot salutuje i odchodzi).
Bonaparte: Przegrałem, Bourrienne. Po raz pierwszy w życiu doznałem klęski. I nie człowiek zadał mi porażkę, lecz siła rzeczy, przymus okoliczności. Jest to tem cięższe. Coś wstrząsnęło się we mnie, załamało. Dzisiaj zrozumiałem, Bourienne, że nie uda mi się zjednoczyć narodów jako jednej potęgi. Poruszyłem lawinę i nie jestem już panem sytuacji. Grzmiąc spada ona po stokach. Otwarłem śluzy, a teraz fale mnie porywają ze sobą. Bezsilny w walce na powierzchni fal. Nie trzeba było iść tą drogą. Gdyby można zawrócić z niej! Zamieszkałbym w małym domku, daleko od Paryża. Może w Burgundji. Żyłbym zupełnie samotny. Zajmowałbym się astronomją i matematyką. Tęsknię za spokojem i samotnością. Mam wstręt do wszystkiego, co jest wielkie i potężne. Jestem ze sobą w niezgodzie. Sława jest pusta i bez treści. Wszystko wyczerpałem, Bourrienne. Jak pan myśli, czy można zawrócić?
(Zdala dolatują salwy karabinowe, poczem długie milczenie. Po chwili wchodzi Junot).
Junot: Zginęli odważnie. Trzy tysiące. (Po chwili mówi zmienionym głosem): Obywatelu generale, armja już gotowa do wymarszu i czeka na rozkazy.
Bonaparte (podnosi wolno głowę): Jutro rano wyruszamy!

Tłom. J. M.

NAJ DRAMATYCZNIEJSZY MOMENT W ICH ŻYCIU.



LOTNIK-SPORTSMAN.

1

Kapitan Orliński (w cywilnem ubraniu) przed swym aparatem. Obok kapitana Orlińskiego stoi kpt. Bajan.

Co mówi kpt. Orliński?

Wychodząc z niedzielnego meczu bokserskiego Warszawa-Berlin, spotkałem kapitana Bolesława Orlińskiego, brawurowego pilota akrobatycznego, bohatera wspaniałego lotu Warszawa-Tokio.

— Bardzo się cieszę, że pana spotykam, kapitanie!

— Cóż takiego? Nie chodzi chyba o wywiad?

— Prawie. Czy nie mógłbym Panu, przed obiadem, złożyć wizyty?

Kapitan się nieco ociąga. Trzeba wielu argumentów i namowy, żeby wsiąść z nim (do jego własnego zresztą Forda) i wstąpić do redakcji po fotografa a później pojechać do niego.

— Przedewszystkiem nie mamy Pańskiej dobrej fotografji w naszem archiwum, a pozatem jest jeszcze jedna sprawa...

W czasie, gdy fotograf robi przygotowania do zdjęcia, opowiadam kapitanowi o naszej ankiecie.

— Najbardziej dramatyczny moment? Miałem ich w mojem życiu bardzo wiele. Od najmłodszych lat. Zaraz na wstępie: urodziłem się 13 kwietnia (to też przecie dramat, chociaż nie dla mnie). Później z winy bujnego temperamentu często brałem w skórę od ojca, przyzna pan, że to dramatyczne chwile. W 1916 r. jako 17-letni chłopiec poszedłem do wojska. Należałem do oddziału konnych wywiadowców. Domyśla się pan, że ryzykownych przygód nie brakowało. A cóż dopiero mówić o latach późniejszych, o karjerze lotnika. Naprawdę nie przychodzi mi do głowy nic szczególnie godnego uwagi. Ciężkie wypadki lotnicze, niebezpieczne momenty przy sterze na znacznych wysokościach? Chyba z dziesięć razy znajdowałem się w takiej sytuacji oko w oko ze śmiercią i widzi pan, że żyję. Niema co o tem mówić i opisywać szczegółowo trudnych sytuacyj pilota. Zrozumieć to może tylko lotnik!...

— Od najmłodszych lat marzyłem o tem, żeby zostać lotnikiem. I gdy wreszcie dostałem się do szkoły pilotów w Grudziądzu, radość moja rzeczywiście była bardzo wielka. Szczególne powołanie czułem do akrobacji i zawodu pilota myśliwskiego. Odmiennego zdania był, niestety, mój nauczyciel i szef wyższego pilotażu w szkole grudziądzkiej, porucznik G. (dziś już nieżyjący). Opinja ta przybrała zupełnie konkretną formę, gdy pewnego dnia w czasie lotu treningowego skapotowałem i rozbiłem maszynę. W czasie lotu pękła rurka oliwna i oliwa zalała mi twarz i oczy. To spowodowało wypadek. Potłukłem się mocno, a ulubiona maszyna mego porucznika, wywiadowcy „Salmson", została zdruzgotana. Opuszczałem szkołę w Grudziądzu z następującą opinją swego szefa i instruktora:

„Niezdatny na pilota myśliwskiego, nadaje się do maszyn ciężkich".

— W ten sposób śmiałe plany i marzenia o pełnej emocji karjerze pilota akrobatycznego miałyby ulec rozbiciu?

— Z tą opinją przyszedłem do 1-szego Pułku Lotniczego w Warszawie. Udało mi się później mimo wszystko otrzymać przydział do eskadry myśliwskiej kpt. Krzyczkowskiego. — Rezultat rocznego treningu w lotach na maszynach lekkich był taki, że odkomenderowano mnie do tejsamej szkoły pilotów w Grudziądzu w charakterze instruktora wyższego pilotażu.

— Obecnie, po wyjściu z wojska, od szeregu lat oblatuję najnowsze i najszybsze maszyny, zbudowane w naszych zakładach...

Co opowiada Ludwik Solski?

— Najdramatyczniejszy moment w życiu? To wymaga głębszego zastanowienia. Pozwoli pan, że pomyślę o tem

ARTYSTA-DRAMATYCZNY.



2

Ludwik Solski w swem mieszkaniu w Warszawie.

przez noc i pomówimy jutro — powiedział mi mistrz Ludwik Solski.

Odwiedziłem Solskiego następnego dnia w jego miłem mieszkaniu, wypełnionem cennemi pamiątkami z rozmaitych okresów życia. Najwięcej jest oczywiście obrazów, gdyż Solski szczególną się cieszy admiracją wśród malarzy. Może dlatego, że zna się doskonale na malarstwie i chętnie zbiera prawdziwe dzieła sztuki.

Przechodzimy do właściwego celu wizyty.

— Myślałem o pańskiem pytaniu — mówi Solski. — Było ich dwa, tych najdramatyczniejszych momentów w mojem życiu. Oba związane są, oczywiście, z teatrem, tak, jak całe moje życie. Pierwszy dramat — to ostry konflikt z ojcem, który stanowczo sprzeciwiał się wszelkim moim planom i poczynaniom aktorskim. Ten stary żołnierz 1831 r., który po burzliwych przejściach młodości osiadł w Niepołomicach, gdzie pracował jako urzędnik sądowy, chciał mnie widzieć także urzędnikiem, albo w ostateczności inżynierem. W żadnym razie nie aktorem.

— „Stołki będziesz w teatrze wynosił" — mawiał z najgłębszem przekonaniem i oddał mnie na praktykę do sądu w Krakowie.

— Byłem bardzo przywiązany do ojca i nie chciałem mu robić przykrości, ale pociąg do teatru był zbyt silny. Po zasadniczej i rozstrzygającej rozmowie zerwałem ze spokojnem i uregulowanem życiem urzędnika i uciekłem do teatru w Kongresówce.

— Drugi raz przyszło mi powziąć niemniej ważną decyzję już po ośmiu latach pracy na scenie. Nie wszyscy wiedzą, że kształciłem się w śpiewie. Już jako dojrzały aktor, byłem uczniem znakomitego prof. Aleksandrowicza w Warszawie. W ciągu jednego sezonu zrobiłem tak wielkie postępy, że Aleksandrowicz polecił mnie, jako tenora, dyrektorowi teatru poznańskiego, Podwyszyńskiemu. Sezon 1882/83 spędziłem w Poznaniu, jako aktor i tenor, występujący w operach i operetkach. Zarabiałem wtedy bardzo wiele, bo ok. 400 mk. miesięcznie. Musiałem być wcale dobrym tenorem, skoro proponowano mi występy na bardzo intratnych warunkach nietylko w kraju, ale i w Berlinie. Stanąłem wobec bardzo poważnego i zasadniczego zagadnienia: wejść na pełną sławy, zaszczytów i korzyści materjalnych drogę tenora operowego, czy poświęcić się aktorstwu w umiłowanym dramacie. Tam możliwość wielkich dochodów, wspaniałych przeżyć i triumfów na szerokim świecie, a tu ciężka i skromnie wynagradzana praca w polskim teatrze, który nie rozporządzał nigdy większemi środkami materjalnemi. Zdawałem sobie sprawę, że ten krok zadecyduje o karjerze.

— Wybrałem dramat i zaangażowałem się do Krakowa z pensją miesięczną 80 guldenów. Było to w 1883 r. Od tego czasu przez wiele lat pozostałem w Krakowie, gdzie spędziłem może najlepszy okres swego życia.

3 DYPLOMATA.

Co opowiada minister Tytus Filipowicz?

Pan ambasador Tytus Filipowicz wyznaczył mi spotkanie w klubie. Kiedy umawialiśmy się przez telefon, informowałem go o naszej ankiecie.

— Najbardziej dramatyczny moment w życiu? — powtórzył pan ambasador Filipowicz, gdy zasiedliśmy do rozmowy w czytelni klubowej. Nie było w czasie mojej służby dyplomatycznej żadnych dramatów. — Na szczęście, wszystko szło dość gładko. Nalegam. Pomagam pamięci pana ambasadora, przypominając rozmaite fragmenty jego znanego i pełnego najrozmaitszych przejść życia. Pan ambasador zamyślił się, sięgając pamięcią daleko wstecz.

Po długiej chwili padają wolno pierwsze słowa. Wysnuwają się obrazy z przed lat 15.

— Było to w lutym 1920 r. Zostałem wydelegowany na czele Nadzwyczajnej Misji Dyplomatycznej w czasie wojny polsko-bolszewickiej do trzech republik kaukazkich: Gruzji, Azarbejdżanu i Armenji. W skład Misji, której byłem szefem, mieli wejść: attache wojskowy i dwóch jego pomocników, lekarz wojskowy, kilku urzędników Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Na 24 godziny przed wyjazdem, na żądanie Skarbu, skreślono attache wojskowego i jego pomocników, tak, że z części wojskowej pozostał tylko lekarz. Jednak rozkaz wyjazdu został utrzymany.

Czasy były niepewne i Europa po chaosie wojennym nie przyszła jeszcze do siebie. Misja nasza otrzymała specjalny pociąg z eskortą, złożoną z 12 żołnierzy. Jak potrzebna była ta eskorta, przekonaliśmy się zaraz w Rumunji, gdzie masy podróżnych, włóczęgów i t. p., wobec ograniczonej, normalnej komunikacji, atakowały nasz pociąg: ludzie wdrapywali się na dachy wagonów, czepiali lokomotywy, stawali na stopniach, aby tylko przedostać się dalej. Nasza eskorta broniła pociągu z karabinem w ręku. Podróż do Konstantynopola obfitowała w najróżniejsze przeszkody. Przez Dunaj jechaliśmy po prowizorycznym moście, zbudowanym w czasie działań wojennych. Przęsła tego drewnianego mostu uginały się pod ciężarem naszego pociągu. Dojechaliśmy wreszcie przez Warnę i Sofję do Konstantynopola. Trzeba było blisko dwa tygodnie czekać na okręt, który zawiózłby nas przez morze Czarne na Kaukaz. — W Konstantynopolu wrzało, w tym bowiem czasie wstąpiły do miasta i obejmowały władzę wojska angielskie i francuskie. Wreszcie okręt wyruszył w drogę i po dwóch dniach podróży wylądowaliśmy w porcie republiki gruzińskiej — Batum. Stamtąd udaliśmy się do Tyflisu, stolicy Gruzji. Misja nasza pozostała w Tyflisie przez miesiąc.

Wspomnę miły i może najbardziej wzruszający epizod z tego właśnie czasu urzędowania w stolicy Gruzji. Pewnego dnia zgłosiła się do mnie delegacja Kozaków z nad Tereku. Kozacy przynieśli stary krzyż Virtuti Militari, zabrany ponoć z Polski w 1830 r. Prosili oni, ażeby wręczyć go komendantowi Piłsudskiemu, oraz żeby w ich imieniu wnieść prośbę o zezwolenie ustanowienia krzyża Virtuti Militari w Kozackiej Republice Tereckiej.

Zetknąłem się w Tyflisie z ministrem spraw zagranicznych Azarbejdżanu, który zaproponował, ażebyśmy podróż do jego kraju odbyli wspólnie. Zgodziłem się, żałując, że nie mam własnego wywiadu. Stolica republiki tatarskiej Azarbejdżanu było nie wielkie, ale bogate miasto Baku. Zamieszkaliśmy w reprezentacyjnych apartamentach azarbejdżańskiego M. S. Z.

Po 48 godzinach naszego pobytu, do Baku — bez jednego wystrzału, wkroczyła XI armja bolszewicka. Skończyły się wszystkie względy gościnności. Natychmiast po zajęciu miasta przez bolszewików, zaczęła działać czerezwyczajka. Aresztowano wszystkich członków misji polskiej, oraz konsularnych przedstawicieli Anglji, Francji i członków poselstwa Gruzji. M. in. dostał się wraz z nami do czerezwyczajki pułkownik Georg Francis Connal Rowan, obecny attache wojskowy przy ambasadzie angielskiej w Warszawie. Czerezwyczajka żadnych względów wobec przedstawicieli obcych państw nie okazywała. Korzystaliśmy z pomocy (przedewszystkiem żywnościowej) Polaków z tamtejszej kolonji. Żeby nie to, byłoby z nami krucho. Po pewnym czasie przeniesiono nas z czerezwyczajki do więzienia, położonego nad brzegiem morza. W ciągu trzech miesięcy więziono nas w Baku, a następnie przewieziono do Moskwy. I tu zmienialiśmy więzienia. Najpierw trzymano nas w słynnej Łubiance, później w Butyrkach. Wraz z nami więziono wówczas w Baku setki białych oficerów dawnej armji rosyjskiej oraz wojsk Azarbejdżanu. Każdego dnia rozstrzeliwano dziesiątki tych nieszczęśników. Bolszewicy więzili mnie do połowy grudnia.

Pewnego dnia, niespodzianie, zabrano mnie spośród towarzyszy izby więziennej i wsadzono do przyzwoitego sypialnego wagonu. Pociąg poszedł ku granicy litewskiej. Koniec końców zostałem odstawiony do Rygi, gdzie toczyły się pertraktacje pokojowe i oddany formalnie delegacji polskiej.

Do kraju powróciłem z tej wyprawy na Kaukaz, przerwanej tak nieoczekiwanie, na Nowy Rok 1921.

Moi koledzy z Misji Nadzwyczajnej rozdzielili się na dwie grupy: kilku pozostało w Tyflisie i ci wrócili później normalnie; ci zaś, którzy pojechali ze mną do Baku: znany ligwista prof. dr. Zygmunt [illegible]gorzewski, Władysław de Bondy i lekarz dr. Rawicz-Kolasiński, przeszli wszelkie perypetje więzienne, chorowali ciężko i do Polski powrócili z niewoli rosyjskiej dopiero późną wiosną 1921 roku.

W. M.

✦ ✦

Rozpoczynając naszą partję, „wyszliśmy" odrazu z trzech asów!

Zwierzają się przed Czytelnikami naszego Magazynu ze swych najgłębszych przeżyć:

chluba naszego lotnictwa, kpt Bolesław Orliński,

znakomity artysta dramatyczny Ludwik Solski, który tak szczytnie przyczynił się do rozwoju narodowej sceny, oraz

b. minister pełnomocny i ambasador p. Tytus Filipowicz, zasłużony nasz dyplomata.

Przedstawiając Czytelnikom pewne ideje i przeżycia tych wybitnych jednostek, dajemy temsamem pełnowartościowy materjał publicystyczny, na marginesie którego Czytelnik snuć może ciekawe i wnikliwe refleksje. Chodziło nam bowiem przedewszystkiem o wywołanie ciekawego kontrastu, jaki zachodzić musi pomiędzy zwierzeniami na ten sam temat pewnych osób, spełniających różnorodne zadania w społeczeństwie, a temsamem djametralnie różniących się w poglądach na temat najdramatyczniejszego momentu w życiu.



Ambasador Tytus Filipowicz.

JEJ „AS"...



Studio Keystone-Paris.

Pani Carise, gwiazda „Folies Bergere" w Paryżu, której niezwykłe podobieństwo do królowej Marji Antoniny nieraz było komentowane, jest wielką miłośniczką chartów...

DOKTOR FAUST CONTRA DUNIKOWSKI

KTO PIERWSZY POZNAŁ TAJEMNICĘ »WYROBU« ZŁOTA?

W ubogiej kuchence na trzeciem pięterku czynszowego domu w San Remo, współczesny alchemik Zbigniew Dunikowski, którego tragiczne przeżycia śledzi świat cały, miał wydobyć wobec ekspertów i przedstawicieli z piasku **czyste, błyszczące**, tak ponętne złoto 22-karatowe.

Ostatnie zdjęcie Jana Dunikowskiego.

Według przypowieści Ben Akiby niema nic nowego na świecie.

„Sprawa Dunikowskiego" powtarzała się w ciągu wieków mnóstwo razy. Zmieniały się epoki, zmieniali się aktorzy i tło dekoracyjne, lecz jądro intrygi nie zmieniało się nigdy. — Po tysiąc razy nie wyjaśniono problemu: mędrzec czy szarlatan?...

Złoto od wieków było płynną krwią organizmu ludzkości.

Nawet szlachetny bohater greckiej legendy Herkules udał się na skraj świata, aby zdobyć złoto w ogrodzie Hesperyd. — Tam na drzewach rosły szczerozłote jabłka, pilnowane przez ziejącego ogniem i dymem smoka. Złośliwi, a tych nawet w starożytności nie brakowało, opowiadają, iż hesperyjskie dziewice ułatwiły wykonanie zadania pięknemu mężczyźnie, nakazując obłaskawionemu smokowi przepuścić uprzejmie Herkulesa do ogrodu miłości i złota.

Kolebka alchemji, to kolebka wiedzy i cywilizacji, starożytny Egipt. Autorem pierwszej formułki wydobywania z ziemi złota-słońca był egipski kapłan Hermos Trismegistos (potrójnie największy). Hermosowi oddawano cześć niemal boską, wywodząc ród jego od samej bogini Ptah. W pracy swej „Z dziejów chemji" prof. dr. Tadeusz Estreicher podaje w polskim przekładzie pierwszą i jedyną starożytną formułę na wydobywanie złota. Przytaczamy początek tej nieco przydługiej poezji alchemicznej:

1. Prawdziwe jest bez kłamstwa pewne i najpewniejsze.

2. Co jest na dole jest jako to, co jest w górze, a to co jest w górze, jest jako to, co jest w dole, dla przejrzenia cudów jedynej rzeczy..." itd.

W mętnej, jak wszystko, co się tyczy alchemji i w pełnej symbolistyki formułce, szmaragdowej tablicy, na której wyryto ją, współcześni uczeni mogą dojrzeć dziś głęboką prawdę poznania istoty wszechrzeczy — snu Egipcjan o atomach, gazach i wieczystej przemianie pramaterji, „tej, co jest na górze i na dole"... Dziś mamy już stokroć jaśniejszą i pewniejszą receptę na wydobywanie złota z rtęci, a więc na proces dawnego uszlachetniania metalu (transmutacji). Formułkę tę podajemy dla użytku naszych Czytelników, według tekstu dra Jerzego Schmida z jego pracy „Transmutacja pierwiastków".

„1. Odjąć rtęci jeden elektron zewnętrzny.

2. Wyrwać z jądra atomu rtęci pięć protonów i cztery elektrony.

3. Dokonać wewnątrz jądra atomu rtęci przestawienia części składowych".

Współcześni uczeni patrzą dziś pobłażliwszem niż dawniej okiem na dawne cuda i wiedzą, iż transmutacja metalów przestała być absurdem, skoro atomy wszystkich pierwiastków zbudowane są według jednego i tego samego planu, z tej samej pramaterji elektryczności i skoro właściwości pierwiastka zależą tylko od ilości krążących dokoła jądra elektronów i od składu jądra. Alchemja starożytna — ta mądrość ludzkości — była prekursorem dzisiejszej chemji, która przyjęła od niej nazwę po odjęciu perskiej przydawki „al". To też w epoce rozwoju współczesnej ścisłej wiedzy możemy badać tajniki okultystycznej wiedzy egipskich kapłanów i zastanawiać się nad powodami zniszczenia biblioteki aleksandryjskiej przez zazdrosnych Rzymian, owego słynnego księgozbioru, który krył tajniki wiedzy hermetycznej, tak nazywanej od wspomnianego wyżej Hermosa. Poza „tablicą szmaragdową", na której wyryto wspomnianą formułkę Hermosa, dochował się do dni dzisiejszych w bibljotece w Leyden papirus grecki z III wieku po Chrystusie z doby rozwoju alchemji aleksandryjskiej. — Alchemicy starożytni łączyli swą naukę z astrologją i kabalistyką, używając zawsze mglistej symbolistyki dla ukrycia istotnej rzeczy. Tworząc język pseudo-naukowy pragnęli w ten sposób odgrodzić się od ciekawości profanów i niepożądanych adeptów ich ekskluzywnej, a przynoszącej im tak wysokie dochody, sztuki. — Kabalistyczna siódemka obowiązywała i w alchemji, doszukującej się również związku z astrologją. Siedem opiekuńczych planet odpowiadało siedmiu pierwiastkom metali. Złoto to słońce, srebro księżyc, Wenus miedź, Mars żelazo, Jupiter cyna, rtęć Merku-



Na lewo: Wnętrze pracowni alchemicznej z XVI wieku.



ry, ołów Saturn. Wierzono, iż metale mają swoją duszę, związaną z planetami. Nazwy te przyswojono tak ściśle, iż dotrwały w chemji do ubiegłego wieku.

Zamianę rtęci i miedzi na złoto uważali zarówno Pliniusz jak i aleksandryjscy uczeni Zosimos i Olimpiodor, za fakty niejednokrotnie dokonane. Tę sztukę, zwaną „mądrością narodów", uprawiali wtajemniczeni mędrcy zwani *„Sophi"* i niewtajemniczeni, *adepci*. — Historja alchemji roi się od mnóstwa opisów faktów wydobywania złota z nieszlachetnych metali przy pomocy t. zw. *„kamienia filozoficznego"*, zwanego również *kamieniem mądrości, wielkim eliksirem, wielkim magisterjum*, lub wreszcie *czerwoną tynkturą*. Rtęć, lub ołów pociągnięte tynkturą zmieniały roztopiony w tyglu metal w złoto. Waga otrzymanego produktu odpowiadała wadze użytego surowca. Rozróżniano tynkturę uniwersalną i partykularną (czerwoną i białą). Ten sam preparat służył równocześnie jako „panaceum", t. j. uniwersalne lekarstwo przeciwko wszystkim chorobom. Lekarstwo wywoływało poty, a one wypędzały chorobę z ciała, przyśpieszając samoczynny proces przyrody. Trzecim specyfikiem było złoto do picia, t. zw. *„aurum potabile"*. Ono używane w małych dawkach odmładzało i przedłużało życie, wpływając równocześnie na płodność. *„Aurum potabile"* należało zażywać jedynie w homeopatycznych dawkach, gdyż inaczej działało zabójczo. Alchemicy średniowieczni uważali Mojżesza za swego kolegę. Miał on uciekając z Egiptu zabrać z sobą zdobyte tajemnice egipskich kapłanów. Powołują się na ustęp z *„Genezis"*, który opowiada, „jakto *Mojżesz wziął złotego cielca, spalił go ogniem, zmienił na popiół, a rozpyliwszy w wodzie dał pić dzieciom Izraela*". — A więc „aurum potabile" i manna, to cudowne środki odżywcze, które ułatwiły ludowi Izraela znieść trudy wędrówki z Egiptu do Palestyny.



Żona Dunikowskiego w sali sądowej w czasie paryskiego procesu.



Edward Kelley, alchemik angielski. (Rys. Andriolli'ego).



Dr. Jan Dee, astrolog czarnoksiężnik. (Rys. Andriolli'ego).

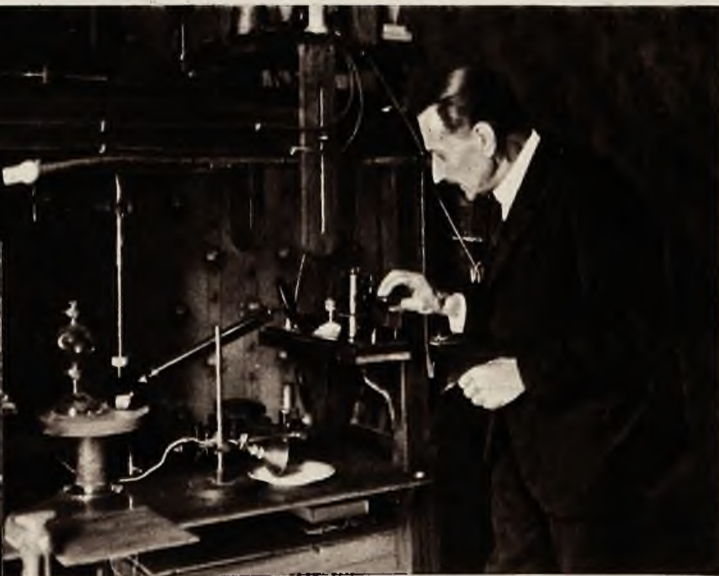
Zasadniczą filozoficzną koncepcją alchemji jest *jedność materji*, przejawiająca się w różnych formach. — Wszystkie te formy są chwilowemi, przemijającymi mniej lub więcej trwałymi stanami równowagi, jedynej substancji t. zw. pramaterji, „ens prima". Odróżniano materję najbliższą *„proxima"*, pośrednią *„media"* i oddaloną *„remota"*, nieuchwytną dla zmysłów, dającą się tylko pomyśleć (elektryczność?). — Znano trzy zasady: *materję, energję i formę*.

Największy umysł starożytności Arystoteles uznawał również jedną pramaterję, zdolną do przemian i łączenia się z sobą. — Z niej rodzą się cztery żywioły. W głębi ziemi pod różnemi ciśnieniami powstają metale pokrewne sobie i zmieniające się przez mieszanie. — Według Arystotelesa można było uleczyć chore metale odpowiednią tynkturą i przyśpieszyć twórczy proces przyrody.

Z Egiptu przenoszą się wtajemniczeni do Bizancjum, które też stało się rozsadnikiem wiedzy hermetycznej w Europie. — Przez długie wieki istniała zamknięta kasta uczonych, strzegąca pilnie tajemnicy kamienia filozoficznego, *podawanej jedynie w drodze ustnej tradycji*. W czterech tysiącach traktatów alchemicznych, pisanych w średniowieczu, *nigdzie nie możemy napotkać tajemniczej recepty*. Italski chemik Rozario w testamencie swoim grozi przekleństwem i śmiercią zdrajcom słowami: *„Qui revelat secretum artis, maledicetur et moritur apoplexia!"* Alchemicy w średnich wiekach stali się zabawką królów i książąt, którzy wiedzeni przedewszystkiem chciwością wyłapywali podejrzanych o posiadanie tajemnicy, próbując im zaszczytami lub torturą wyrwać posiadaną receptę na wyrób złota. — Dlatego też żaden z nich nie przyznawał się do posiadania wielkiej tajemnicy, lecz wymyślał zawsze zagadkowe i przedziwne historje o otrzymaniu szczypty cudownego proszku *od nieznanych ludzi!* Dzieje alchemji, tej poezji średniowiecza i prorokini dzisiejszej ścisłej wiedzy chemicznej, pełne są romantycznych wydarzeń i fantastycznych postaci, które przeszły już do literatury („Faust" — Goethego). Nasi badacze tej dziedziny, jak dr. Tadeusz Estreicher i Jan Pietrzycki twierdzą, iż Kraków XV i XVI wieku był centralą życia wtajemniczonych, podobnie jak w Hiszpanji Toledo. — Protektorami wtajemniczonych byli możni, a najznamienitszym z nich król Zygmunt III-ci. — Długi szereg postaci z tego świata, jak Ciołka, Jana Głogowczyka, Sędziwoja zamyka współczesny nasz alchemik Jan Dunikowski, używający w swych doświadczeniach nowego rodzaju „kamienia filozoficznego", przyśpieszającego o tysiące lat uszlachetnienie metalów i narodziny złota. — Teorja Zbigniewa Dunikowskiego („Matin" z 4. I. 1932 r.) opiera się na tezie, iż istnieje tylko jeden pierwiastek chemiczny, tlen. Wszystkie inne ciała są tylko jego przekształceniami. Ciałami półśredniemi między tlenem a metalem są sole. Z owych „embrionów metalogenicznych" tworzą się metale w ciągu tysiącletniego procesu. Dunikowski miał wynaleźć „promienie Z", które skracają pracę tysiącleci do jednej minuty. Maszyna jego składa się z ampułki wypełnionej mieszaniną metali, których drobiny mogą stać się radjoaktywnemi przez bombardowanie. One wyzwalają z niesłychaną siłą „promienie Z", zwane przez Dunikowskiego promieniami syntetycznemi. W celu skutecznego działania muszą być skombinowane z trzema rodzajami prądów elektrycznych: prądu o wysokiej frekwencji, prądu statycznego oraz promieni ultrafjoletowych. (?) Czy Dunikowski posiadł istotnie tajemnicę szmaragdowej tablicy, czy należy do tych okpiświatów, jakich już Dante pomieścił w kręgach swego piekła — najbliższa przyszłość pokaże!...

Historja alchemji opowiada, iż to najbardziej niebezpieczny zawód!...

M. D. D.



Dunikowski w swej pracowni w St. Remo. Miejsce ostatnich doświadczeń.



Pracownia alchemika według obrazu Dawida Teniersa mł. 1610-90).

Pierwsza Maskarada Ewy...

Na lewo: ...lustro miało odpowiedzieć na pytanie: czy w tym kostjumie będzie jej do twarzy?



...droga na redutę nie należała do najprzyjemniejszych — pasażerowie w tramwaju zdumieni przyglądali się jej kostjumowi...



...w lustrze zawieszonem w garderobie, zobaczyła po raz pierwszy salę balową...



...z rozbawionego tłumu wyszedł jej szef biurowy i z cygarem w ręce zdążał ku niej.



...po chwili piła z nim pierwszy raz w życiu prawdziwego szampana...

Od ósmej rano brzęczą wokoło maszyny do pisania, dzwonią telefony, rozlegają się głosy urzędników.

Mała Ewa jest wzorową urzędniczką. Spełnia ona obowiązki dokładnie, bez szemrania, zawsze gotowa do pracy.

Gdy się ściemni, a lampy elektryczne rzucają kręgi światła na ożywione ulice, jakiś ruch wesoły i nerwowy wstrząsa miastem, — dziesiątki samochodów i powozów mknie w kierunku lokali dancingowych, prywatnych will i restauracyj. A w autach siedzą piękne panie z uśmiechem na twarzy, w towarzystwie panów we frakach. Ewa słyszy tylko o tych balach i zabawach. Nie brała w nich nigdy jeszcze udziału.

Wreszcie jedna z przyjaciółek postarała się dla niej o zaproszenie na maskaradę To była niespodzianka! Pierwszy raz pójdzie na redutę! W swoim skromnym pokoiku od dwóch tygodni przygotowuje toaletę. Nie będąc pewną niektórych szczegółów, zasięga rady swej gospodyni, osoby doświadczonej, która niejedno już widziała.

Toaleta gotowa. Ewa była u fryzjerki, twarzyczka jej promienieje szczęściem. Siada do tramwaju i nieco speszona spojrzeniami współpasażerów, jedzie do przybytku przyszłych swych marzeń...

Nareszcie jest na miejscu... Naokoło wspaniałe lustra odbijają obraz wielokolorowych tańczących par. Ewa nieśmiało wchodzi na salę, rozglądając się za swym znajomym, którego niedawno temu poznała, a który obiecał, że będzie na balu. Lecz zamiast przystojnego młodego człowieka, który nieco zaniepokoił jej serduszko, spotkała swego szefa z biura. Pełna jego twarz uśmiecha się z zadowoleniem na widok pięknej Ewy.

— Jak się dobrze składa — zaczyna szef. Różnice biurowe, on dyrektor, ona skromna urzędniczka, giną na lśniącej posadzce sali balowej.

— Napijemy się czegoś. — siadają przy stoliku. Wkrótce zjawia się szampan. Pierwszy szampan w jej życiu. Z każdym łykiem Ewa staje się weselszą. Z każdą chwilą czuje się bardziej pewna siebie. Jest przecież piękną, młodą, zgrabną, — kostjum jej nie ustępuje innym. Lecz wciąż krąży po sali oczami, by dostrzec swego znajomego. Wykorzystuje pierwszą sposobność, aby opuścić towarzystwo nieco natrętnego dyrektora. Uścisk ręki młodego człowieka udowadnia jej, że uczucia jego odpowiadają jej serduszku.

— Pewno pani głodna? — siadają przy stoliku, młody człowiek znając się na formach i obyczajach balowych... zamawia parówki! Ale jak one dobrze smakują... w jego towarzystwie — lepiej niż szampan dyrektora.

Przez salę idzie walc. Ewa marzyła od dawna o takim walcu. Coś się jej przypomina z romansów, które czytała, z opowiadań koleżanek. Wiedeń, modry Dunaj, Prater, Budapeszt, wyspa św. Małgorzaty...

W ramionach młodego człowieka czuje się szczęśliwa.

Lecz nadchodzi godzina odjazdu. Taksówką młody człowiek odwozi Ewę do domu. Było im dobrze ze sobą. Gorący pocałunek pieczętuje umówione rendez-vous.



...nareszcie znajomy młodzieniec odbił ją staremu nudziarzowi...



...to była dopiero radość, gdy poczta doręczyła jej pierwsze zaproszenie na zabawę maskową...



...na drugi dzień w biurze szef zapomniał o szampanie — ona nie mogła zapomnieć o swym tancerzu...



...nagrodą był wstydliwy pocałunek i zapewnienie, że się wnet znów zobaczą...



...za ostatnie pieniądze odwiózł ją śmiertelnie znużoną do domu...



...parówki, zamówione przez niego, smakowały jej więcej, niż szampan szefa...

NA PODBÓJ OCEANÓW!

Podobno życie zaczęło się w morzu lub u jego wybrzeży. Do takich wyników doszli przyrodnicy, którzy szczególnie byli ciekawi początków życia na ziemi. Także i najbardziej rozwinięty ustrój żywy, panujący na ziemi rodzaj „homo sapiens" czuje dziwną tęsknotę do morza i żywo interesuje się jego tajemnicami. Jest pewne, że największe cywilizacje ludzkie powstały nad brzegiem mórz lub też wielkich rzek. Rzeki i morza pierwsze umożliwiły człowiekowi pokonanie przestrzeni. Pierwsze środki komunikacyjne to napewno były czółna i statki płynące po rzekach i morzach. Dzięki tym właśnie środkom komunikacji wodnej ludzie de facto objęli w posiadanie całą ziemię. Czyn żeglarza Kolumba stanowi słup graniczny dwóch epok w dziejach ludzkości na ziemi. Dopiero potem po kilku stuleciach przyszedł czas na inne wielkie wynalazki nowych środków komunikacyjnych, kolej żelazną, samochód i samolot. Przez długi szereg wieków poprzednich najszybszym środkiem komunikacji był okręt.

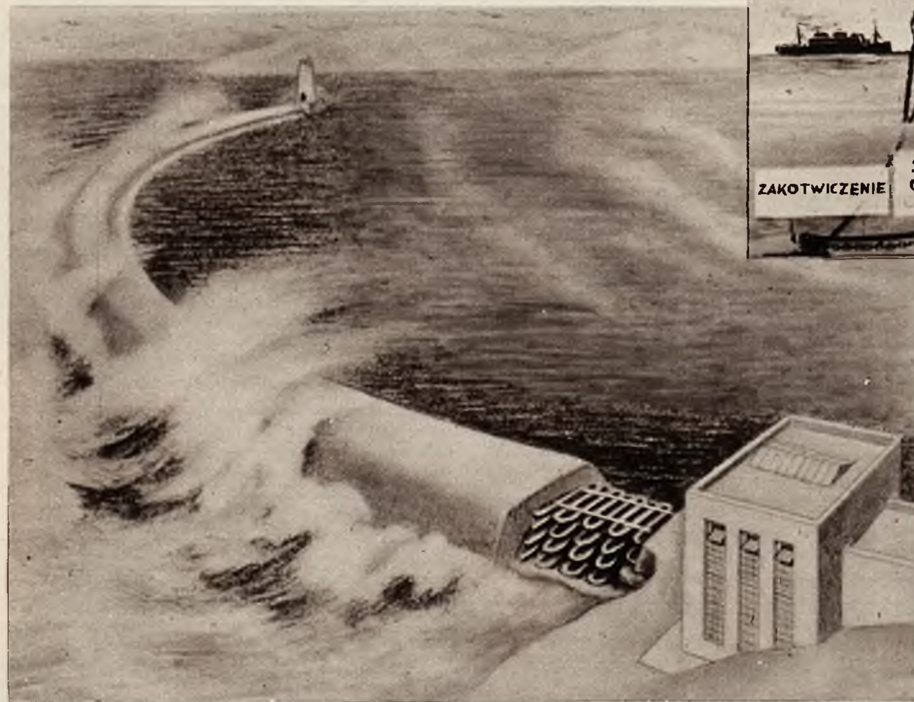
Dzisiaj morze pozornie tylko ma mniejszy wpływ na bieg życia ludzkości. W rzeczywistości ludzkość nie przestaje tęsknić do morza. Wszystkie narody mające byt samodzielny uważają dostęp do morza, jeżeli go posiadają, za coś, od czego ta samodzielność w bardzo znacznej mierze zależy. Ale pod jeszcze innym względem morze dzierży prym w myślach człowieka. Daje się to najlepiej poznać po utopjach, które dzisiaj bardzo intenzywnie snuje się na temat morza. Dzisiaj patrzymy na utopję inaczej, niżeli dawniej. Wiemy obecnie, że każda utopja zawiera w sobie jakąś część składową, która w takiej czy innej formie zostaje wkońcu zrealizowana. Fakt, że w marzeniach dzisiejszych wynalazców morze odgrywa taką dominującą rolę jest niezmiernie charakterystyczny. Jest to podświadomy może wyraz ukrytych dążeń ludzkości.

I nic dziwnego. Przeważna część powierzchni ziemi pokryta jest morzami. Na mapach lądu stałego niema już prawie białych plam. Czyż zatem dziwne jest, że coraz więcej myślimy o morzu? Przecież to jest olbrzymi rezerwuar energji i materji, łatwo dostępny i niewyczerpany.

Zobaczmy zatem o czem śnią dzisiejsi wynalazcy utopiści w odniesieniu do morza. — Nie można tu pominąć milczeniem jednego z największych techników i uczonych francuskich Jerzego Claude'a, który z niebywałą pasją od kilkunastu lat swoją energję twórczą skierował na morze, uważając, że jest ono wspaniałym rezerwuarem energji, zwłaszcza w okolicach krajów tropikalnych. Marzenia Claude'a zostały częściowo już przez niego samego urzeczywistnione. Wyzyskuje on ciepło zmagazynowane w wodach na powierzchni oceanu okolic tropikalnych. Inny znów wynalazca marzy o wyzyskaniu energji ruchu fal morskich. Jeden proponuje zbudowanie sztucznych wysp z okrętów pomiędzy któremi byłby rozciągnięty system pływaków. Ruchy pływaków w górę i w dół przenosi się na wał korbowy. Drugi znów pragnąłby umożliwić korzystanie z energji nawet małych fal. Urządzenie takie powstaje już w okolicach Biarritz.



Oto jak sobie wyobraża wynalazca Honnef swą wyspę elektryczną na morzu...



Tama ze sztucznego lodu na morzu. Na obydwóch jej końcach hale maszyn do wytwarzania niskiej temperatury.

Ale po co wykorzystywać ruchy fal spowodowane przez wiatr, skoro można przecież bezpośrednio wyzyskać siłę wiatru niemal zawsze panującego na morzu. Wynalazcą niemiecki Honnef, podał niedawno projekt zbudowania na lądzie olbrzymiej wieży, wysokiej na kilkaset metrów, na której szczycie ma się znajdować wiatrak. Ten sam wynalazca obecnie podał projekt zbudowania wyspy elektrycznej na morzu. Dwa okręty zarzucają kotwicę

blisko siebie na pełnem morzu. Na nich opiera się konstrukcja nośna olbrzymiego wiatraka. Wiatrak jest niemal ciągle w ruchu spowodu stałych wiatrów. Wytworzona w dynamach, znajdujących się na okrętach energja elektryczna, zostaje kablem podmorskim przesłana na ląd. Konstrukcja tej pływającej wyspy jest tego rodzaju, że okręty mogą zawsze ustawiać się w korzystnem położeniu do kierunku wiatru.

Jeżeli już mowa o wyspach sztucznych to nie można pominąć milczeniem pomysłu niemieckiego wynalazcy Dra Gerkego, który systematycznie forsuje myśl zastosowania lodu jako materjału budowlanego. Dr Gerke wyobraża sobie, że możnaby na pełnem morzu, ale w miejscu stosunkowo płytkiem zakotwiczyć dwa statki. Na razie pomysł zupełnie podobny do poprzedniego. Ale podczas gdy Honnef chce korzystać z energji w pewnej wysokości ponad powierzchnią oceanu, to p. Gerke wybrał sobie jako teren działania głębiny morskie. Oto z obu statków wyprowadza się system rur pionowych i poprzecznych aż na dno morza. Maszyny znajdujące się na okrętach wytwarzają zimno, które przeniesione zostaje wgłąb przez ciecz płynącą w owych rurach. Rury te pomału obrastają od zewnątrz lodem. Wkońcu cały obszar pod statkami aż do dna zostaje zamrożony. Jedynie na samej powierzchni, na której unoszą się statki, pozostawia się chwilowo koryto wolne od lodu. Gdy już cały fundament z lodu jest gotowy, statki się usuwają a na tym fundamencie stawia się maszyny, które dzieło doprowadzają do końca. Maszyny te pracują potem stale, dostarczając ciągle tyle zimna, ile potrzeba by wyspę lodową utrzymać nienaruszoną. Na wyspie tej stanąć mają budynki, warsztaty, lotniska, stacje radjotelegraficzne i budynki mieszkalne. Pan Gerke uważa swoją fantazję za zupełnie możliwą do urzeczywistnienia. Proponuje on również, aby tensam pomysł wyzyskać do budowy tam lodowych sięgających daleko w morze dla ochrony portów, dla skierowania biegów rzek w dowolną stronę i dla zamknięcia portu w czasie wojny.

Pomysł dra Gerkego, mógłby zostać urzeczywistniony przynajmniej w małym zakresie. Inna rzecz, to strona gospodarcza tego projektu, która zapewne będzie dość trudna. To zresztą bywa najsłabszym punktem wszystkich tego rodzaju fantastycznych i frapujących pomysłów. Nie można jednak kategorycznie twierdzić, że nie nadejdzie nigdy taka chwila, w której projekty te będą mogły być urzeczywistnione.



Z autentycznego zdarzenia.

Dajno pan wódkę, bo mrozik pali, a ja panu opowiem, jak wygląda pech. No... zdrowie!

Taak!... Otóż, panie — czy pamięta pan radcę R. z Tarnowa?

Jednego razu zaproszono mnie i jego na polowanie pod Tarnowem.

Pociąg do B. odchodził o ósmej, jazdy było wszystkiego dziesięć minut. Jedną stację.

Kiedy pociąg nadszedł, wyszliśmy razem i zajęliśmy przedział trzeciej klasy, lokując broń i torby na półkach.

Naraz radca zaklął brzydko i wybiegł z wagonu, wołając, że zostawił torbę z nabojami w restauracji.

— Leć pan prędko, jeszcze zdążysz! — ktoś za nim krzyknął.

Pociąg stał jeszcze chwilę, potem rozległ się gwizdek, trąbka i... ruszyliśmy.

Radcy jeszcze nie było. Podbiegłem do okna i wyjrzałem. Właśnie z tunelu pod peronem wyłoniła się długa postać, machając torbą. Chciał wskoczyć w biegu, ale służba kolejowa zatrzymała go i ostatniem, co zobaczyłem, było zbiegowisko na peronie...

Obżałowując radcę, dojechaliśmy w dziesięć minut do pierwszej stacji.

Skończył się pierwszy kocioł, potem drugi, zaczęto już zakładać trzeci, gdy od strony Tarnowa ukazała się dorożka. To jechał radca.

— A bodaj — to wszyscy djabli! — wołał, wysiadając. — Jeszcze musiałem grzywnę zapłacić za wskakiwanie w biegu do wagonu!

Podszedł do naszej grupki, przywitał się z gospodarzem i resztą gości i zwrócił się do mnie:

— No! Daj pan moją strzelbę!

— Jaką strzelbę? — pytam zdumiony i naraz coś mi zaświtało w głowie.

— Radco! Pańska strzelba już zdaje się, będzie koło Bochni! Pojecha-ła!

— A żeby was! — jęknął radca zrozpaczony. — Moja poczciwa Pieperówka przepadła! I krzesełko składane też!

Cóż było robić! Wysłano natychmiast chłopca z nagonki do stacji z depeszą, że w wagonie jedzie zapomniana strzelba, żeby ją wraz z krzesełkiem na pierwszej — lepszej stacji wzięto i odesłano do Tarnowa.

Jeden z myśliwych musiał odjechać z polowania, bo wzywały go pilne sprawy, więc pożyczył radcy swoją strzelbę, bezkurkówkę, jako że radca niemiał zaufania do starej, zardzewiałej flinty ajowego, którą mi oferowano.

Polując dalej, znaleźliśmy się pod lasem. Mrozik był taki, jak dziś, śnieg kopny; założono kociołek, w środku którego rosły krzaki, olszynki i drobne przylaski.

Kiedy zamknięto kocioł i rozległy się pierwsze strzały, naraz z krzaków wyskoczył lis. Podniósł się wrzask nagonki i mykita, przerażony i ogłupiały, pomknął wprost na radcę.

Z zazdrością spoglądałem, jak radca przystanął, spokojnie dopuścił lisa na kilkadziesiąt kroków, złożył się... i nic...

Lis sadził galopem, radca mierzył i mierzył, ale strzelba milczała... Jeszcze parę sekund i lis zniknął w lesie, a radca stał dalej z wymierzoną w las strzelbą i widać było, że mocuje się z cynglami, aż nareszcie odjął broń od ramienia i nowa serja złorzeczeń posypała się wślad za zbiegiem.

— Co się stało, radco? — zawołałem, kiedy dystans między nami zmniejszył się. — Dlaczego pan nie strzelił?

— Panie! Te djabelskie maszyny! Te nowomodne strzelby! Nie wiem, co się stało, ale to świństwo niechce strzelać, choć nabite! A ja nie wiem, co mu zrobić, żeby strzelało! Ani tu kurka, ani co... Djabli wiedzą, jak się z tego strzela!...

Pokazało się, że strzelba była poprostu zabezpieczona, a radca, nieznający bezkurkówek, nie umiał odsunąć bezpiecznika. Teraz chodził z nosem na kwintę i miną samobójcy.

Wyglądałoby, że dość już nieszczęść w jednym dniu na biednego radcę, ale panie... na wszelki wypadek chodziłem zdala od niego, bo to „człowiek strzela, a Pan Bóg kule i śruty nosi..."

Wreszcie zajechały dwa wozy w osłonach, aby nas zawieźć do folwarku, na śniadanie.

W moich oczach radca siadł na wóz i wsadził pożyczoną laskę między szprychy koła... Konie szarpnęły, rozległ się trzask i laska rozleciała się na dwoje!...

Radca spojrzał błędnym wzrokiem dokoła, poczerwieniał z pasji, zeskoczył z wozu, pośliznął się i usiadł w śniegu. Z tej pozycji zawołał zduszonym głosem, a grdyka latała mu niebezpiecznie:

— Ja idę na stację! Mam tego dość!!!

Dusząc się od śmiechu, perswadowaliśmy mu, że teraz niema pociągu, że lepiej na folwarku zapić tego pecha, a ktoś solennie obiecywał, że po trzech kieliszkach wszystko minie! Musieliśmy użyć całej wymowy, aby nareszcie siadł spowrotem na wóz.

Konie ruszyły i w parę minut byliśmy na folwarku, gdzie czekało śniadanie, ten najpewniejszy z miotów.

Po kilku kieliszkach humor radcy poprawił się, zatarł kilka razy ręce, co było dowodem wesołego nastroju i usiadł na honorowem miejscu.

Rozmowa zeszła na lisa, który tak gładko uszedł z życiem i nietkniętą skórą. Radca zapeszył się, potępiając nowoczesne bronie, które niechcą strzelać. Gestykulując żywo, ilustrował rękami wypadek z lisem, gdy za jego krzesłem stanęła dziewczyna z ogromna wazą barszczu...

Było już znowu zapóźno!... Zabrzmiało kilka ostrzegawczych okrzyków, gdy radca rękami złożył się do strzału i wyrżnął łokciem w wazę z zupą...

— Hop! — zdołałem wykrzyknąć, niewiadomo, poco.

Waza frunęła w górę i usiadła dnem do góry na karku niefortunnego Nemroda, a krwisty potok barszczu spłynął z szumem po całej postaci, strojąc po drodze biednego radcę w białe uszka i różowe kawałki buraczków...

Tylko lewa ręka, celująca do widma lisa, znajdującego się widocznie w tej chwili gdzieś w kacie pokoju, pozostała sucha i celowała długą chwilę, a radca nie wyrzekł teraz ani słowa...

To jest — widzi pan — naprawdę pech...

Zygmunt Jordan.

Nasz przebój muzyczny

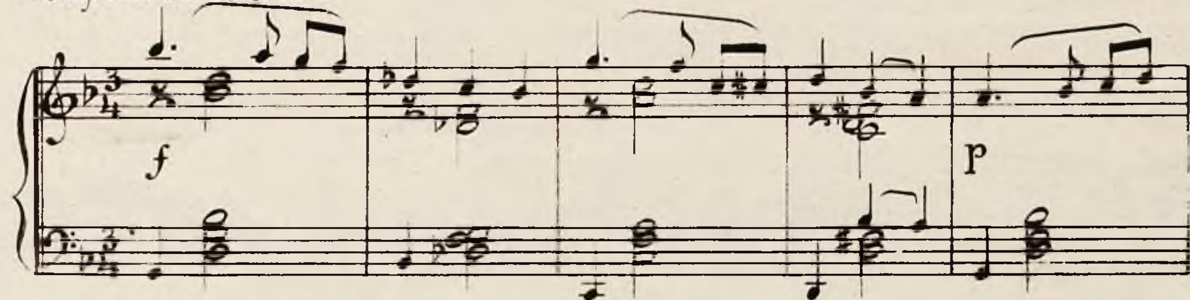


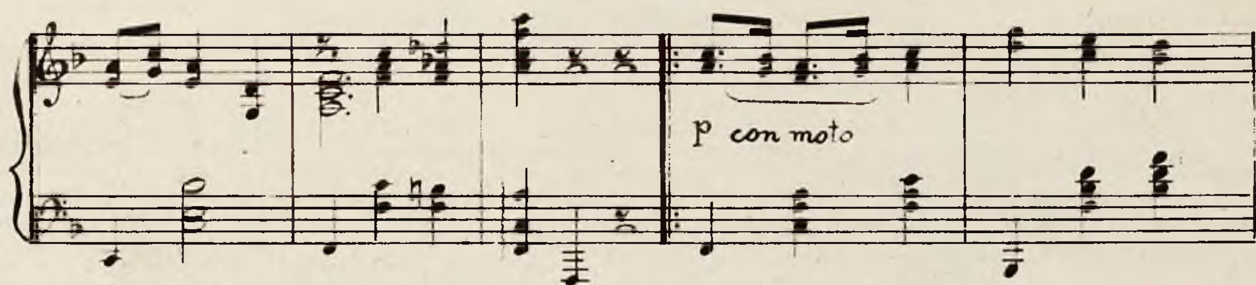
WSPOMNIENIE.

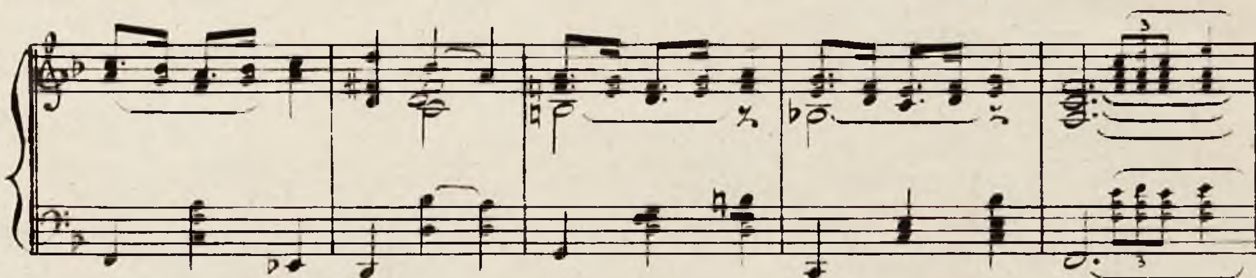
Boston.
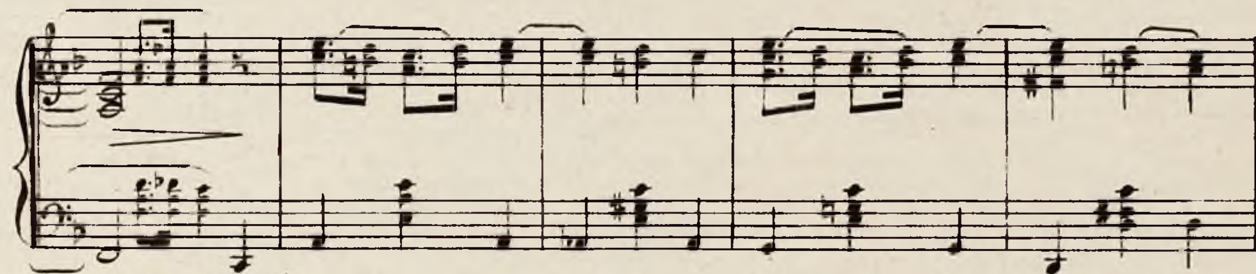
Muzyka Giuri Radnay'a.
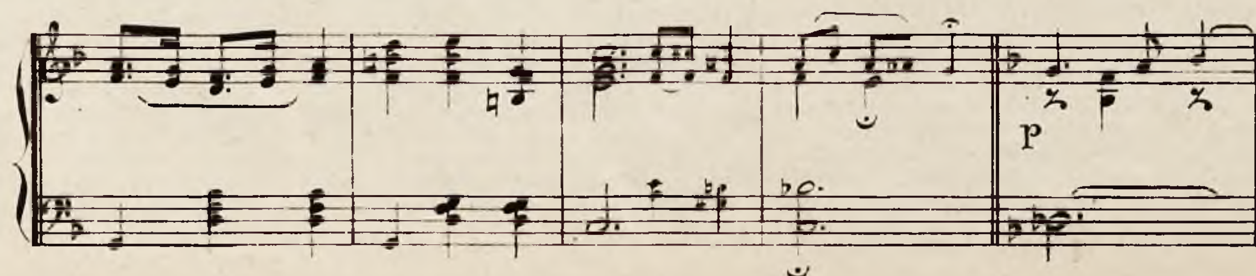
Tempo di Valse lento.











Muzyka jest jednym z najpiękniejszych przejawów twórczych ducha ludzkiego. Czy przybiera formę klasycznej kompozycji, czy tylko lekkiego przeboju tanecznego, lub piosenki — zawsze równie silnie przemawia do serc słuchaczy, o ile tylko opartą jest na oryginalnej i wartościowej inwencji kompozytora.

W dobie obecnej, gdy życie wieczorne przewija się barwną wstęgą na lśniących parkietach dancingów i barów — gdy w każdej kawiarni i restauracji rozlegają się dźwięki jazzu, orkiestr salonowych lub przynajmniej głośników radjowych, a porywający rytm współczesnych tańców rozbudza temperament nawet u flegmatyków — powstały szczególnie korzystne warunki dla popularyzacji wartościowych przebojów.

Nierzadko zdarza się, że jakaś kompozycja taneczna zapoznanego, młodego muzyka okazuje się utworem daleko bardziej wartościowym, niż „ograny" i „ośpiewany" przebój reklamowanego w rewji lub w filmie dźwiękowym autora. Otwierając na łamach naszego tygodnika specjalną rubrykę, poświęconą właśnie utworom tanecznym i piosence, pragniemy zapoznać Czytelników z tą wartościową przedewszystkiem kompozycją i starać się będziemy, by każdy muzyk, bez względu na to, czy posiada już swą markę, czy też stawia dopiero pierwsze kroki na ciernistej drodze do sławy — mógł przemówić do naszych Czytelników mową, zrozumiałą dla ludzi, czułych na prawdziwe piękno w muzyce.

Już w najbliższych numerach naszego Magazynu podamy terminy oryginalnego konkursu na najpiękniejszy polski przebój taneczny i piosenkę. Do konkursu dopuszczeni będą wszyscy bez wyjątku muzycy polscy, mieszkający w kraju lub zagranicą. Przeboje i piosenki, nadsyłane do redakcji „Asa", przejdą przez cenzurę jury, poczem te, które odznaczać się będą nienaganną formą i piękną melodją zostaną zamieszczone w naszej muzycznej rubryce. Głosy Czytelników „Asa" rozstrzygną, które z tych kompozycji wejdą w program turnieju orkiestr jazzowych, zorganizowanego specjalnie celem ostatecznego wyboru najlepszego polskiego przeboju i piosenki. Konkurs ten stanowić będzie niewątpliwie wielką sensację w kołach muzyków naszego kraju i zachęci niejednego z nich do intenzywniejszej pracy twórczej.



W dzisiejszym numerze zamieszczamy boston „Wspomnienie", odznaczający się nienaganną formą i piękną melodyką, który już kilkakrotnie był wykonywany przez znakomitą naszą śpiewaczkę Wandę Wermińską. Kompozytor, ukrywający się pod pseudonimem Giuri Radnaya, jest Krakowianinem i zajmuje w tutejszych kołach muzycznych niepoślednie miejsce.

el.

Życie towarzyskie i artystyczne.

Otwierając na łamach naszego pisma rubrykę p. t. „Życie towarzyskie i artystyczne", pragniemy notować wszystkie te szlachetne akcenty, które są charakterystycznemi przejawami naszej towarzyskiej kultury.

Uważamy, iż w dzisiejsze, szare, pełne materjalnych przykrości, życie wnieść trzeba jak najwięcej jasnych pęków promieni duchowej kultury i szlachetnych form współżycia ludzi.

Rycerskość, uprzejmość, dobry smak, pielęgnowane tak dostojnie przez naszą przeszłość nie mogą zginąć z pokoleniem starem. Kultura towarzyska Soplicowa nie może przejść do historji obyczajowości, nie pozostawiając po sobie godnych spadkobierców.

Życie współczesne stwarza nowe, barwniejsze niż dawniej, a być może szczersze i pełniejsze platformy towarzyskiego i estetycznego życia. Trzeba je tylko znaleźć i pielęgnować.

Spełnimy nasz publicystyczny obowiązek, jeśli pozyskamy naszych Czytelników do pomocy w sprawie wcielenia w życie i rozszerzania pięknych zasad rycerskości, wzajemnego szacunku i zaufania, dobrego smaku w codziennem życiu.

Kwiatem kultury jest nasza sztuka, to też pismo nasze jaknajwięcej nią zdobić będziemy.

Ślub w arystokracji.

W kronice życia towarzyskiego Wielkopolski i jej stolicy — Poznania — należy przedewszystkiem wspomnieć o ślubie p. Henryka Chłapowskiego z Czerwonej Wsi z hrabianką Barbarą Czarnecką, który odbył się w pięknej kaplicy pałacowej w Rusku (na zdjęciu), a ślub poprzedził raut w Po-



znaniu, który zgromadził licznych reprezentantów sfer ziemiaństwa wielkopolskiego. Mówiąc o ślubach trzeba wspomnieć o zaręczynach znanego poznańskiego kupca p. Bogdana Leitgebera z wysoce utalentowaną artystką Teatru Polskiego z p. Zofją Koreyówną. P. Leitgeber, będąc jednym z ostatnich reprezentantów dawnego patrycjatu poznańskiego, znany jest nietylko jako sprężysty kupiec, ale również jako wielki miłośnik teatru, co swego czasu dało asumpt zdolnemu autorowi Hemarowi do napisania sztuki p. t. „Firma", w której p. Leitgeber jest główną postacią. Zaręczyny odbyły się w obecności obu rodzin narzeczonych, jakoteż zaproszonych reprezentantów świata teatralnego z pp. dyrektorami Robertem Boelkem i Maksymiljanem Piotrowskim na czele.

Polowanie u hr. Badeniego w Busku.

Do tradycyjnych polowań należą wielkie łowy, odbywające się rokrocznie w dobrach hr. Badeniego w Busku. Obfitość zwierzyny, piękno krajobrazu, staropolska gościnność składają się na święto myśliwych, którego urok i czar ściąga do Polski wybitnych cudzoziemców, uważających kraj nasz za myśliwskie eldorado. W ostatnem polowaniu, które odbyło się w dobrach hr. Badeniego w Busku wzięli udział hr. Skrzyński, hr. Łoś, br. Brunicki, insp. Humnicki i in. Polowanie było przygrywką niejako przygotowawczą do wielkich łowów na dziki, które odbędą się w tych dniach. Załączamy fotografje przedstawiające biorących udział myśliwych, oraz wóz ładowny ze zdobyczą około setki zajęcy.



Na polowaniu u hr. Badeniego byli obecni m. in.: 1) hr. Skrzyński, 2) hr. Łoś, 3) br. Brunicki, 4) insp. Humnicki.



Bogata zdobycz myśliwska na polowaniu w Busku.

Ewa Bandrowska wyjechała do Ameryki.

Ewa Bandrowska-Turska zaangażowana została na wiele występów operowych i estradowych w Nowym Jorku, Cleveland i Bostonie.

Dnia 11 lutego wyjechała do Paryża, a stamtąd do Hawru. Korzystając z uprzejmego zaproszenia, odwiedziłem artystkę w przeddzień jej wyjazdu, by uzyskać kilka szczegółów o amerykańskiej podróży.

W salonie artystki panuje nieład, cechujący bliską godzinę wyjazdu.

— I największy kłopot mam z nutami. — Na stole i na taborecie leżą wielkie paki nut.

— Jest tego chyba ze 20 kilo — mówi pani Bandrowska-Turska. Między tym materjałem muzycznym są również niezwykle cenne rękopisy, dotychczas niewydane. Będę to wszystko woziła w podręcznym wor-



Ewa Bandrowska-Turska (*) wraz z mężem, dyr. Marjanem Turskim (**) i przyjaciółmi na dworcu warszawskim przed odjazdem do Ameryki.

ku. Raczej wolałabym stracić bagaż, niż nuty. Bagaż jest zresztą bardzo pokaźny. Prócz sukien i kostjumów, śpiewaczka wiezie za ocean rozmaite drobiazgi dla swych amerykańskich przyjaciół.

— Rodzińskim wiozę od teściów dwa kilimy, kilo kaszki krakowskiej i koperek. Żona naszego wielkiego kapelmistrza jest doskonałą gospodynią.

— Kiedy pierwszy koncert za oceanem?

— W Nowym Jorku będę już 20-go lutego, a w 4 dni później odbędzie się mój recital w Carnegie-Hall. Stamtąd pojadę do Cleveland, gdzie czeka mnie kilka występów w operze i w Filharmonji. Cieszę się, że dyrygować będzie mojemi występami nasz znakomity Rodziński, który, jak wiadomo, odnosi w Ameryce olbrzymie sukcesy. W operze wystawia Rodziński „Cyrulika sewilskiego", w którym ja śpiewam Rozynę. Czeka mnie następnie koncert symfoniczny w Bostonie. To wszystko co narazie wiem o występach amerykańskich. Impresario pisał mi, że ma bardzo szerokie plany. W Ameryce mogę zostać najwyżej do końca marca. Zawarte już dawniej kontrakty obowiązują mnie do rozpoczęcia tournee śpiewaczego po Rosji sowieckiej z początkiem kwietnia. W programie są występy w operze oraz na estradach Moskwy, Leningradu, Charkowa i Kijowa. Wypełnią one czas do połowy czerwca.

— W Rosji mogłabym zostać znacznie dłużej. Publiczność jest tam dla mnie niezwykle życzliwie nastrojona...

— Ale należy się Pani przecież wypoczynek po tych wszystkich podróżach artystycznych — przerywam.

— I nic mnie nie odwiedzie od najlepszego wykorzystania tegorocznych wakacyj. Przez trzy miesiące będę próżnowała, nie myśląc o śpiewie, o koncertach i operze. Tegoroczne wakacje spędzę oczywiście w kraju, najprawdopodobniej w Krynicy.

— A więc do zobaczenia w Warszawie, w drodze z Nowego Jorku do Moskwy...

M.

Junosza-Stępowski,

Kazimierz Junosza-Stępowski to bezwarunkowo — wraz z Jaraczem!! — najznakomitszy dziś artysta scen polskich. Jaracz i Junosza: dwa nazwiska, dwaj ludzie, dwie dusze, dwa światy — wszystko inne, wręcz przeciwne, a zawsze prawdziwe, wiarygodne.

Kazimierz Junosza-Stępowski to przedewszystkiem głęboki, najgenjalniejszy może po niezapomnianym Kazimierzu Kamińskim *aktor-analityk*. Jak niema w świecie dwóch



Junosza-Stępowski jako Stefan Batory.

ludzi o takim samym wyglądzie usposobieniu, charakterze — tak samo w twórczości scenicznej Junoszy niema *żadnych powtarzań* się. Każda rola, opracowana do najdrobniejszych szczegółów, subtelnie wycyzelowana. Dla każdej umie znaleźć inny a zawsze właściwy wyraz, inny ton, odrębną mistrzowsko z charakteru postaci wydobytą i do jej usposobienia i losu dostosowaną charakteryzację, uwypukloną najnaturalniejszą mimiką, gestem, starannie dobranym kostjumem.

I na scenę wchodzi nie aktor w roli..., ale *żywy człowiek*, ten, którego losy właśnie mają się rozegrać i wstrząsnąć widzami.

Wyspiański, gdy zaszedł za kulisy krakowskiego teatru, by porozmawiać z aktorami, nie zauważył Modrzejewskiej, lecz ucałował rękę jej — Lady Makbet. Gdy gra Junosza-Stępowski zapominamy o nim, widzimy na scenie prawdziwe, *rzeczywiste* postacie Cezara, Wielkiego Księcia Konstantego, Batorego, Shyloka, Iwana Groźnego, Pawła Wielkiego, Kaligulę, Henryka IV....

I to jest największym triumfem artysty, triumfem nietylko tej iskry bożej zwanej talentem, ale nadewszystko niestrudzonej pracy nad sobą i nad tekstem najbłahszej nawet sztuki, którą przyjdzie mu ożywić swą wspaniałą kreacją.

Gdy przed 35 laty, urzeczony czarem teatru wstępował na deski sceniczne, mówiono mu — jak sam wspomina — że jest tumanem, śmiano się z jego dykcji, ruchów...

Dziś jest jednym z *najznakomitszych artystów europejskich*. *(swb.)*

Jubileusze, jubileusze!

Jeszcze w bieżącym sezonie odbędą się uroczystości jubileuszowe tak znakomitych artystów, jak *Stefan Jaracz, Aleksander Zelwerowicz, Ludwik Solski* i *Juljusz Osterwa*. Przyjdzie nam wówczas nakreślić ich sylwetki artystyczne.

Dziś choć w kilku słowach wspomnijmy o lubianym i popularnym *Fryderyku Jarossym* z okazji 10-lecia jego pracy na wesołej scenie. Jarossy to nietylko doskonały „zapowiadacz", który stworzył nowy typ konferansjerki, nietylko autor wielu drobnych utworów estradowych i rewjowych, ale przedewszystkiem świetny reżyser, któremu niejedna z gwiazd estrady i kabaretu zawdzięcza swą sławę.

Gdy przed kilku laty w Poznaniu robiłem z Jarossym wywiad, rzuciłem mu celowo „podchwytliwe" pytanie:

— Jak się pan zapatruje na kwestję masowej emigracji murzynów do Chin?

Odpowiedział mi zmiejsca:

— Jako stary Austrjak witam połączenie dwóch kolorów czarnego z żółtym. Mam nadzieję, że pod temi barwami zostanie wskrzeszona na Wschodzie stara wiedeńska operetka, wiedeński sznycel i austrjackie gadanie...

Ta błyskawiczna odpowiedź Jarossego najlepiej charakteryzuje jego cięty, niezrównany dowcip. *(swb.)*

Laureat państwowej nagrody muzycznej.

Sąd konkursowy nagrody muzycznej ministra W. R. i O. P. postanowił jednogłośnie przyznać nagrodę za r. 1935 Feliksowi Nowowiejskiemu. Nowowiejski, mieszkający stale w Poznaniu, rozwija niezwykle owocną działalność jako pedagog, dyrygent i wirtuoz organowy. Jest autorem kilku oper (Quo Vadis, Legenda Bałtyku), wielu oratorjów i kompozycyj symfonicznych. Wiadomość o przyznaniu nagrody Nowowiejskiemu spotkała się z powszechnem uznaniem.





Dobrze ubrany gentleman!

„Gentleman" — niestety niema na to polskiego słowa, bo lansowany „wytworny pan" jest tragiczną okropnością — nie „ubiera się" — bo jest poprostu zawsze dobrze ubrany. Tem zresztą różni się gentleman od różnych gogusiów i domorosłych Valentinów.

Moi panowie, — pierwsze przykazanie błogosławionego Brummella i jego niegodnych następców, książąt Walji brzmi: — nie gońcie za modą! — Bez przesady. — Bo naprawdę dobrze ubrany pan nie nosił nigdy



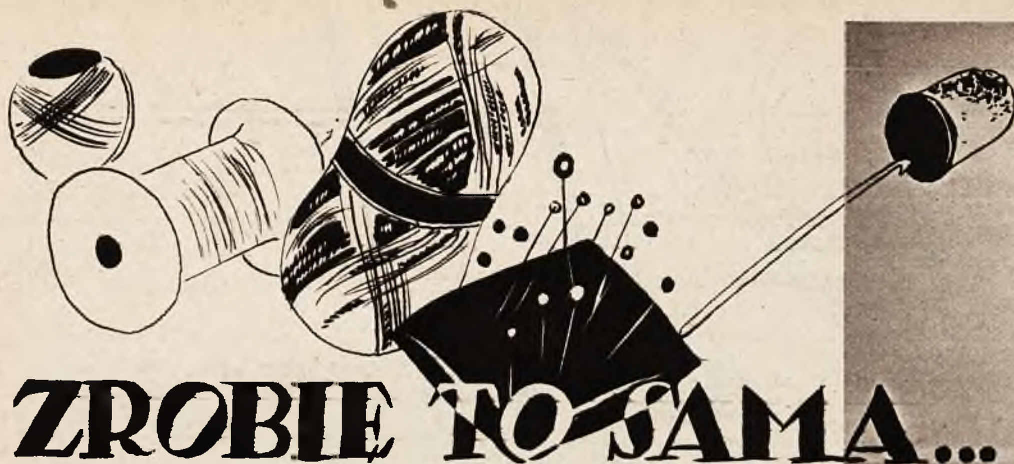
Fasony modnych kołnierzyków. Wspólną cechą wszystkich fasonów jest to, że u góry są rozwarte.

pantalonów tak wąskich u dołu, że przypominały spodnie haremowe — kiedy były wąskie spodnie „modne" — taksamo dzisiaj nie włoży na siebie „ineksprimabli" (nasze babki tak wstydliwie wyrażały się o pantalonach), mających klosze zygmuntowskie u dołu, kiedy są „modne" szerokie spodnie.

O wiele ważniejszą rzeczą jest dobrze związany i odpowiednio dobrany krawat, porządny kołnierzyk, „tudzież" koszula, dobrze wyczyszczone buciki. To przedewszystkiem. A wcale nietrudno dojść do „angielskiego" połysku butów. Pasta — dobra pasta — i 15 minut, poświęcone dziennie dla bucików. Bo żadna służąca — nie dajcie kobietom do rąk męskich butów — nie potrafi bucika porządnie wyczyścić. Nasmaruje pastą, trochę przejedzie ścierką i będzie zadowolona. A czyszczenie bucików, to niebyle co! a jednak nie takie trudne. W jednym z następnych numerów powrócimy do tych arcyważnych kwestyj.

Dzisiaj chcieliśmy ogólnie zwrócić uwagę na t. zw. drobnostki w ubiorze mężczyzny. Tutaj przejawia się naprawdę moda męska, tutaj można się poddać jej władzy.

A więc np. format kołnierzyka — najnowsze fasony podajemy na ilustracji — rodzaj krawata, spinki, rękawiczki itd. Ale i tutaj — przedewszystkiem bez przesady! Bo to jest pierwszem i najważniejszem przykazaniem mody prawdziwego gentlemana.



ZROBIĘ TO SAMA...

Milutki pullover, którego fotografję reprodukujemy obok, może każda z pań wykonać własnoręcznie i to w dość krótkim stosunkowo czasie, bo jest zrobiony ściegiem tunetańskim wolnym, który szybko postępuje w pracy. (Wykonujemy go w ten sposób, że na łańcuszku w odpowiedniej długości robimy oczka duże pozostawiając je na szydełku. To jest rząd pierwszy. Nast. polega na tem, że przerabiamy poszczególne oczka, zbierając je po jednemu, robiąc wraz z niemi jak gdyby łańcuszek górny. Trzeci rząd znów polega na wykonaniu pełnej ilości oczek w rzędzie przez przerabianie szydełkiem pomiędzy oczka (nie w same oczka) jak rząd pierwszy.

Pullover ten jest dołem wykończony 10-centimetrowym pasem, wykonanym na drutach (jedno oczko wprost, drugie na wywrót). Przeciętną wielkość przyjmujemy na 110 oczek plecy, 120 przód. Od tego rozpoczynamy robotę. — Gdy już pas gotowy, przechodzimy do szydełka i stosownie do wymiarów podanego obok kroju, wykonujemy każdą część osobno, aby potem złączyć razem niewidocznym ściegiem igłą.



Pullower z cieniutkiej wełny, wykonany na drutach i szydełkiem.



Przy wykonywaniu przodów pewną trudność stanowić mogą zęby, na które pullover jest zapinany, oraz wycięcie pachy i szyi. Ponadto i rękawy 3/4 długości wymagają wykonania wedle wzoru. Kto jednak przyswoi sobie dobrze sam sposób ściegu tunetańskiego, temu kwestja rozszerzania czy zwężania przez dodawanie czy odejmowanie oczek nie będzie stanowiła trudności. Do wykończenia rękawów robimy osobno pas na manszet. Wokół przodów i wycięcia szyi robimy dwa rzędy zwyczajnym ściegiem szydełkowym dla umocnienia.

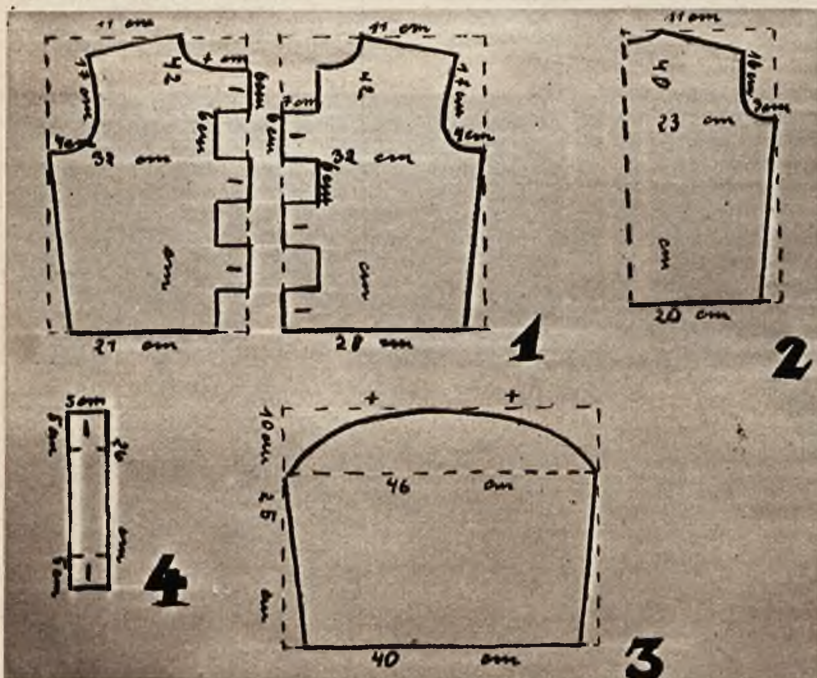
Teraz pozostają do zrobienia dziurki na przeciwległych zębach przodu i na manszetach. Można je zrobić odrazu w trakcie szydełkowania, ale to wymaga dość dużego wyrobienia w wykonywaniu sweterków. Wówczas możemy odpowiednio do wielkości przygotowanych guzików zrobić otwory na dziurki większe. Jeżeli natomiast poprzestaniemy na małych guziczkach, wówczas wystarczy tylko wymodelować otwór przy pomocy szydełka i odziergać go wełną zapomocą igły.

Do wykonania tego pulloveru najlepiej użyć cieniutkiej wełny kolorowej z białemi włoskami.

Wzór, który reprodukujemy na zdjęciu, jest wykonany z bardzo ciemnej wełny w zielonym flaszkowym odcieniu, który przyprószony jakgdyby białemi cieniutkiemi niteczkami, bardzo elegancko się przedstawia.

Wobec powszechnej mody kostjumów wełniane bluzeczki szydełkowane czy haczkowane mają duże zastosowanie w nadchodzącym sezonie wiosennym. Zwłaszcza w naszym klimacie, gdzie wiosna jest zazwyczaj chłodna, mając ciepły a lekki sweterek, można wcześnie stosunkowo pozwolić sobie na zmianę płaszcza na wiosenny kostjum. Sweterek powinien być ciemniejszy od materjału kostjumu, a może nawet kontrastować z nim w zasadniczym odcieniu.

Panie, lubiące robótki ręczne, mają wdzięczne pole do popisu.



Zmniejszony krój pulloweru: 1) przód, 2) plecy, 3) rękaw, 4) manszet.

CO MÓWIĄ DYKTATORZY MODY.

Zanim jeszcze w naturze ukazywać się zaczną pierwsze oznaki wiosny, myśli już Paryż o wiosennym stroju pięknej kobiety. Oglądaliśmy to wszystko na intymnych rewjach modeli, gdzie zapraszane są tylko najwytworniejsze klientki, prasa i przedstawiciele wybranych a nielicznych magazynów.

Już samo tło wytwornych atelier zasługiwałoby na osobny opis. Czy to lustrzane ściany u Chanel, czy empirowy salon Schiaparelli, pełen egzotycznych storczyków... Ale najważniejsze to to, co pokazano w zakresie mody wiosennej.

Ogólną popularnością cieszą się kostjumy i trzyćwierciowe płaszcze. Sukienki znów nieco krótsze. Mnóstwo niesłychanie urozmaiconych bluzek, z dekoltami pleców na lato. Materjały letnie w barwach i deseniach wybitnie pastelowe.

Kostjumy lansuje przedewszystkiem Chanel. — Wykonane z jasnych tweedów, uzupełnione uroczemi bluzeczkami, są nadzwyczaj efektowne i młodociane. Szczególny poklask uzyskał kostjum z bladoniebieskiego wafelkowatego tweedu, o bluzeczce białej w czerwone grochy. Bardzo elegancko wyglądały letnie sukienki z płaszczykami o podszewce z materjału sukni. Deseniowe materjały w gwiazdki i kropki. Rękawiczki z materjału sukni o manszetach z barwnej skóry Duże kapelusze o podniesionem z jednej strony rondzie.

Schiaparelli lansuje mnóstwo odcieni granatowych i błękitnych aż do zupełnie jasnego koloru „Vishnu". Niebieskie łączy z brązowemi odcieniami, co stanowi bardzo efektowne zestawienie barw. Jego kostjumy uzupełniają trzyćwierciowe płaszczyki z tej samej materji lub dłuższe cape na chłodniejsze dni. Bardzo podobał się taki cape granatowy z woskowanego płótna do jasno niebieskiej sukienki. Modele letnie o deseniach roślinnych są u niego szczególnie delikatne w rysunku. Białe koronki, szale z najnowszych materjałów szklanych, skórzane oryginalnie plecione paski, ozdoby metalowe — to wszystko dodatki niezmiernie charakterystyczne. Kapelusze Schiaparelli mają ku przodowi wysunięte ronda o niezwykłych linjach, a za przybranie służą przedewszystkiem kwiaty.

Modele firmy Molyneux ukazały przedewszystkiem bogactwo tualety wieczorowych o bajecznych kwiatach z jedwabiu i aksamitu. Ogólny podziw budziły szkarłatne poinsettie przy białej crepe satin, jak niemniej wielobarwne tulipany do tualety w kolorze drzewa różanego. Do sukien i kostjumów używa Molyneux ze szczególnem upodobaniem koloru granatowego z białem, jako niezwykle młodocianego zestawienia barw, o co dbałość zaznacza się szczególnie w jego wiosennych kreacjach.

Patou lansuje nowy kolor w odcieniu złotym „Ambra", który służy zarówno do sukien wieczorowych, jak i do przybrania sukienek wełnianych w kolorach brązowym czarnym, nawet niebieskim. Kostjumy Patou wszystkie bez wyjątku uzupełnione są przez cape sięgający do linji bioder. Bluzki białe, koronkowe, haftowane, szydełkowane, z wybitnem użyciem wszelkiego rodzaju ręcznych robót Dużo wagi poświęca Patou sukni t. zw. „5—8 g." Jest ona długa i z długiemi rękawami, bez dekoltu, a tylko z długiem rozcięciem bluzy z tyłu. Suknie wieczorowe ozdobione pailletami, skłaniają się do mody z lat 80-tych zeszłego stulecia, a więc bufiaste rękawy, rysze, wolanty, spięcia szerokiej spodnicy w tyle itd.

Trudno byłoby wyliczać wszystkie firmy i modele. Na imię im legjon. A z tego dopiero kształtują się ogólne zasady mniej więcej jednolite, które pójdą w świat, jako skrystalizowana już moda wiosenna 1935.

Florence.

✦ ✦ ✦

1. Suknia popołudniowa „5—8 g." o kroju skośnym, co tworzy ładne rozcięcie dołem. Rękawy z kloszową falbanką. Mały dekolt.

2. Sukienka o sportowym charakterze, wykonana z lekkiej wełny, nadającej się na stembnowane zakładeczki.

3. Sukienka biurowa, której kołnierz i manszety mogą być wykonane z odmiennej materji lub z białej koronki lub piki.

4. Długa bluzeczka z wełny w skośne prążki, przepasana skórzanym paskiem o klamrze, której kolor powtarzają guziki głównego zapięcia i kieszonek.



1



4



3



2

PANI I JEJ DOM



Do naszych Czytelniczek!

Skomplikowane formy współczesnego życia stawiają kobiecie liczne wymagania, którym sprostać musi w imię zarówno swego własnego dobra, jakoteż otoczenia wśród którego żyje, a więc przedewszystkiem rodziny a dalej tego warsztatu pracy, przy którym pracuje. Rozszerzyły się znacznie widnokręgi pracy kobiet, ale równocześnie ścieśniło się jej życie prywatne. Życie tymczasem pędzi w zawrotnem tempie naprzód i nie wolno nam pozostać w tyle, zaniedbać czegokolwiek, co w zakresie praktycznych dziedzin zmienia się i dostosowuje do nowych form.

Kącik naszego pisma „Pani i jej dom" będzie Czytelniczkom służyć za przewodnika we wszystkich dziedzinach, interesujących współczesną kobietę. Kto nie znajduje czasu przy swych rozlicznych zajęciach, aby śledzić bieg dokonywujących się przemian na każdym odcinku życia kobiety, na łamach naszego tygodnika znajdzie je wszystkie omówione stosownie do potrzeb chwili bieżącej. Jak się ubierać i dbać o dobór ubioru swych najbliższych, jakie starania poświęcić higjenie i kosmetyce życia codziennego, jak dostosować system odżywiania do wymogów nowoczesnej dietetyki, jak dbać o konieczne rozrywki własne i swej rodziny, jak ułatwić sobie składne zorganizowanie wszystkich czynności, aby mieć czas na wszystko, oto w skrócie program działu „Pani i jej dom".

„As" przyjdzie do Was, Czytelniczki, co tydzień z nową serją zagadnień, które ułatwią i umilą Wam trud codziennych obowiązków.



Wiosenne pokazy mód w wielkich paryskich domach mody są niesłychanie różnorodne, ale wszystkie wystąpiły zgodnie pod jednym jedynym względem: kostjum to najodpowiedniejszy strój wiosenny. Kostjum i bardzo urozmaicona w kroju i wykonaniu bluzeczka, która latem otrzyma duży dekolt pleców, podobnie jak suknia balowa ubiegłego karnawału.

Na prawo: model kostjumu z casha-toile w fantazyjne pasy brązowe i beige. Bluza, pasek i kapelusz brąz.

Fot. d'Ora — Paris.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

Cielęce ozorki w sosie. Pare ozorków cielęcych, obgotowanych i obciągniętych z błony, gotuje się w wodzie z jarzynami tak, aby po ugotowaniu mało tylko rosołu zostało. Parę pomidorów (obecnie z konserw) dusi się z cebulką i masłem, zasypuje łyżką mąki i zalewa rosołem z pod ozorków, następnie przeciera się wszystko przez sito, dorabia smak solą, szczyptą cukru oraz sokiem cytrynowym lub octem, wkłada pokrajane w skośne płatki ozorki i zaciąga jeszcze raz na ogniu.

Śliwki w cieście. Śliwki suszone, namoczone w wodzie z cukrem przez noc, osączone z wody, przekroić z jednej strony, potem wyjąć pestkę, a na jej miejsce włożyć kawałek orzecha lub migdała. Następnie macza się je w cieście trochę gęstszem niż na naleśniki, smaży na maśle i podaje otaczane w cukrze miałkim z cynamonem lub czekoladą.

Sałata z kapusty. Główkę białej kapusty skrajać cienko, rzucić na wrzącą wodę, gotować przez 5 minut, scedzić wodę, zalać nanowo gorącą wodą, posolić i gotować dalsze 5 minut, wyrzucić na durszlak. Na salaterce utrzeć majonez z surowego żółtka i łyżki oliwy dodawanej po kropli, dodać łyżkę octu, łyżkę gęstej śmietany, szczyptę soli i cukru, wymięszać z kapustą.

Dorsz. Morska ryba staje się u nas coraz bardziej popularną. Niemiły zapach, który wiele pań od używania tej ryby odstraszał, traci się zupełnie przez dokładne wymycie w kilku wodach lub w słabym roztworze kali hipermanganicum. Ważną rzeczą jest natarcie ryby sokiem cytrynowym. Tak przyprawioną rybę kraje się w dzwonka, panieruje w jajku i bułce i smaży na maśle. Doskonały jest też dorsz gotowany w wodze osolonej i zakwaszonej octem, posypany siekanem jajkiem i polany masłem.

Zupa z płatków owsianych. Na dwie osoby liczy się łyżkę płatków owsianych. — Zalane zimną wodą lub rosołem gotuje się przez godzinę. Na wydaniu dodaje się łyżkę masła deserowego i zaprawia przyprawą rosołową Maggi lub podbija żółtkiem.

Kompot z pomarańcz i jabłek. Pomarańcze obrane i pokrajane w cienkie plastry i jabłko w drobny makaron, kropi się rumem i zalewa syropem nagotowanym z 5 dkg. cukru, paru łyżek wody i cienko obranej i pokrajanej łupki z połowy pomarańczy. Przed wydaniem dobrze ostudzić.

Tort kakaowy. 6 dekagramów masła utrzeć na pianę, dodać 15 dkg. mączki cukrowej, 3 dkg. kakao, 2 żółtka, 4 łyżki mleka, pianę z białek i 15 dkg. mąki. Mąka ma być zmięszana z łyżeczką proszku do pieczywa. Upieczony i wystudzony tort przekroić oraz napełnić marmoladą, przyrządzoną w ten sposób: 2 łyżki marmolady, 1 łyżkę mączki cukrowej, oraz jedno białko, uciera się przez pół godziny, tj. tak długo, aż się utworzy gęsta różowa piana. Pianką tą pokrywa się również wierzch tortu.

Selery faszerowane z grzybami. — Z średniej wielkości selerów ugotowanych w słonej wodzie, ścina się wierzchołki, wyżłabia i nadziewa grzybami, które namoczone przez noc gotuje się i następnie przyprawia jak świeże. Napełnione selery polewa się rumianem masłem.

Krokiety z móżdżków. Móżdżki oblanżerowane i obrane z błon udusić na maśle z cebulką — dodać 10 dkg. pieczarek posiekanych i osobno w maśle uduszonych, wymięszać, zawijać w naleśniki, popanierować w jajku i bułeczce i szybko z obu stron osmażyć.



Nowości kuchenne.

Wszystkie jarzyny, gotowane na wodzie, sprawiają tę trudność gospodyni, że trzeba z nich odcedzać wrzątek, co nie należy do najłatwiejszych czynności w kuchni. Wynalazczość w dziedzinie ułatwień dla gospodarstwa domowego czyni szybkie postępy, więc i ta niedogodność przy gotowaniu jarzyn już może dla nas nie istnieć. Oto układa się jarzyny na drucianym koszyczku, który łatwo dostosowuje się do objętości naczyń kuchennych i na nim gotują się jarzyny zanurzone w wodzie, poczem wyjmuje się je wraz z koszyczkiem, pozostawiając wrzątek w naczyniu.

7 ★ DNI ★ DOBREJ ★ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat. i żyd.	Tydzień 10 — MARZEC — Dni 31
Niedziela **3** Kunegundy p. 28 Adar	Rosół z grzybów z makaronem. Krokiety z móżdżków cielęcych. Pieczeń nerkowa, marchewka, smażone ziemniaczki. Pączki lub tort kakaowy. <u>Kolacja:</u> Zimna pieczeń lub wędlina z sałatą majonezową z kapusty.
Poniedziałek **4** Kazimierza 29 Adar	Czysty barszcz lub kapuśniaczek z kiełbaskami, kotlety ziemniaczane ze szpinakiem. Paprykarz cielęcy z francuskiemi kluskami. Omlet biszkoptowy z konfiturą. <u>Kolacja:</u> ozorki cielęce w pomidorach.
Wtorek **5** Fryderyka 30 Adar	Rosół z kaszką. Selery faszerowane grzybami. Sztuka mięsa z sosem musztardowym. Legumina z suszonych śliwek w cieście. <u>Kolacja:</u> Rizotto.
Środa **6** *Popielec* † 1 Weadar	Zupa ziemniaczana przecierana z smażonym groszkiem. Puree z grochu lub soczewicy z sadzonemi jajami. Zrazy siekane z buraczkami. Owoce lub kompot z pomarańcz i jabłek. <u>Kolacja:</u> Cielęca wątróbka w sosie.
Czwartek **7** Tomasza z Akw. 2 Weadar	Zupa grochowa z grzankami. Gołąbki z ryżu. Befsztyki z jarzynkami. Naleśniki z serem. <u>Kolacja:</u> Jaja faszerowane z sałatką jarzynową.
Piątek **8** ...na Boż. ...Weadar	Barszcz zabielany. Dorsz smażony lub gotowany z sałatą ziemniaczaną. Dołki lub buchtle. <u>Kolacja:</u> Makaron włoski w sosie śmietanowym.
Sobota **9** ...yla i Metod. ...eadar	Zupa owsianka. Zrazy zwijane z grzybami. Paluchy ziemniaczane. Kapusta włoska z masłem. Owoce. <u>Kolacja:</u> Kasza częstochowska -kefir.

BĄDŹMY ZAWSZE MŁODZI



Co robić, aby mieć piękny dekolt?



Nowoczesna higjena uwolniła kobietę z wiekowych oków gorsetu i umożliwiła wprowadzenie w życie jakże słusznej zasady, że tylko „w zdrowem ciele zdrowy duch" potrafi przezwyciężać skutecznie zgubne działanie czasu na organizm ludzki. Nie było to rzeczą łatwą, ale dziś zapory stawiane przez pseudo-moralistów wogóle już nie istnieją. Codzienna kąpiel ,pielęgnowanie skóry jako drugiego po płucach narządu oddychania, to postulaty coraz szerszych sfer społecznych.

Słusznie też kobiety poświęcają codzienne zabiegi dla utrzymania czystości cery a przytem jej jak najładniejszego wyglądu. Nie polega to na bezmyślnem „otynkowaniu" skóry warstwą nieodpowiednią pudru, lecz na racjonalnej pielęgnacji skóry, która tylko w tym wypadku zachowa zdrowy i czerstwy wygląd, co jest podstawą jej piękna.

Troska o piękną cerę nie ogranicza się dziś do pielęgnacji twarzy i dłoni. Ręce, ramiona, szyja i dekolt muszą być równie pięknie utrzymane, aby można było bez trwogi odsłonić szyję i ramiona w kostjumie kąpielowym czy sukni balowej.

Zajmiemy się dzisiaj pielęgnacją szyji i dekoltu, którym p. M. Arbaut poświęca starannie dobrane ćwiczenia: pierwsze polega na tem, że kładzie się prawą rękę na prawem ramieniu, a lewą rękę na lewem ramieniu, następnie należy połączyć ręce na szyi i wykonywać silny nacisk na kark. Drugie ćwiczenie wykonujemy, kładąc prawą rękę na lewem ramieniu, a lewą na prawem i podnoszą głowę do góry celem wyprężenia skóry. Przy trzeciem ćwiczeniu kładziemy prawą rękę na lewem ramieniu i przeciągamy ją ku podstawie karku. To samo należy uczynić lewą ręką. Czwarty ruch obejmuje położenie obu rąk u podstawy karku i podniesieniu głowy. Trzeba, aby palce obu rąk się dotykały, a następnie podnosić ręce aż do górnej części ramienia. Przy piątem ćwiczeniu kładziemy końce palców na karku z dwóch stron stosu pacierzowego, a następnie należy je posuwać na dół, przyciskając dosyć silnie.

Ostatnie ćwiczenie polega na ujęciu brody między dwie ręce w ten sposób, aby stykały się pod brodą, a kciuki leżały za uchem, palec zaś wskazujący na uchu. Zamykając ręce, należy wykonywać ten ruch conajmniej 15 razy. Trzeba zaznaczyć, że ręce powinny być nasmarowane kremem o zawartości lanoliny.

Czwarte ćwiczenie jest niepotrzebne dla kobiet o szczupłej szyi. Po wykonaniu ćwiczeń osoby szczupłe osuszą skórę kawałkiem waty, a panie zażywniejsze zmyją ją alkoholem kamforowym. *Michał Arbaud (Paryż).*

CO MÓWIĄ
PARYSCY MISTRZE MODY O SZMINCE I PIĘKNOŚCI?

(Korespondencja własna).

Dlaczego Paryż wciąż przewodzi w modzie? Pytanie, na które odpowiadano sto razy, lecz wciąż nasuwają się odpowiedzi — we faktach. Paryż lansuje modę, Paryż międzynarodowy, przyjmujący pomysły każdego, kto potrafi narzucić je swą indywidualnością i fantazją. Przecież nasz rodak, mistrz Antoine, jest z pochodzenia Polakiem. Dziś jest on dyktatorem fryzury świata całego, rozjeżdżając własnym samolotem od jednej filji swych zakładów, do drugiej: z Nowego Jorku do Londynu, Paryża, na Riwierę i t. d. Podobnież Chanel, wątła i blada kobieta, niknąca niemal w tłumie...

— Jakto?! — Przerwą me czytelniczki. — Chanel blada i niknąca w tłumie? Przecież jest ona królową mody, która lansowała niejedno już w zakresie stroju kobiecego?!...

Istotnie. Suknie, kapelusze, biżuterja, perfumy i szminki zawdzięczają jej niejedną z zasadniczych rewolucyj. Posiada ona również fabrykę perfum w Neuilly, i wśród stu znaków fabrycznych wyroby, noszące markę „Chanel" czy „Antoine" są najpopularniejsze nie dla swej dobroci, lecz spowodu zaufania do tych nazwisk. W wielkich magazynach paryskich Antoine posiada nawet własne stoiska, gdzie jego wykwalifikowany personal bezpłatnie radzi damom, jakie dobierać i stosować odcienie tego, czy innego preparatu, za co w jego zakładzie przy ulicy Cambon płaci się setki i tysiące franków.

* * *

Czytelniczki zauważyły powyżej uwagę o prostocie Chanel. W tem właśnie kryje się sekret mody i smaku paryskiego, zatracany często na odległość. Widząc wyszminkowane panie w Warszawie i w Krakowie i zadziwiona wyglądem Chanel na jednem z przyjęć, zapytałam pewnego dyktatora mody paryskiej o powód.

Trudno było o odpowiedź. I w rezultacie... podajemy ją, niestety, anonimowo... Bo moda ma swe sekrety i nie lubi zdradzać ich...

Co mówią w tym sezonie w Paryżu o szminice?

— Żyjemy w epoce — usłyszałam — w której każda niemal pani używa szminki, choć niedawno jeszcze wiele pań szczyciło się nieużywaniem tych specyfików. Lecz jeśli mam powiedzieć pani coś ciekawego dla polskich czytelników, to wolałbym nie mówić o tych modach ekscentrycznych, jak paznogcie nakładane metalowe, paznogcie lakierowane na fioletowo — popołudniu, a na złoto i srebrno do sukni wieczorowej... Wolę mówić o szmince na codzień. Bo łatwo kobiecie zabłysnąć raz, na jakiemś przyjęciu, czy nawet intymnej wizycie. Lecz twarz kobiety szanującej się nie powinna wyglądać codzień jak paleta z farbami! Fjoletowe czy niebieskie powieki i zielony puder, lansowane niedawno, winny być stosowane ostrożnie i rzadko.



Mistrz Antoine w swej pracowni paryskiej.

Na prawo: Jedna z fryzur Antoine'a.

Szminka na codzień...

— Twarz kobiety, idącej z modą, winna niemniej zachować swą osobowość, rzecz właśnie najtrudniejszą. To, co mi pani opowiada o wrażeniu, jakie pani odniosła zagranicą, gdzie nadużywa się szminki — jest słuszne. Oczywiście! szminką można zaradzić brakom fizycznym; poszerzyć, czy zwęzić usta, dodać rumieńców, czy ująć. Lecz w tym ostatnim wypadku nie trzeba posuwać się tak daleko, by naturalny rumieniec czy bladość miały przestać istnieć dla oka patrzącego! Twarz musi zachować nawet pod szminką swój wyraz. Tak samo jak sukni nadaje się krój, odpowiadający danej osobie, tak samo twarz musi zachować swe właściwości.

— ?...

— Tak! Największa sztuka szminkowania polega na zachowaniu miary. Po chorobie nonsensem jest różować się przesadnie! Bladość rekonwalescencji też ma swój urok! A poza tem należy zawsze dobierać puder i krem matowy, nie zatykający porów twarzy. Puder najwyżej lekko różowy. Wargi szminkować różem dyskretnym; podobnież oczy! Zdarzy się wtedy, że pani, słuchająca tych rad, będzie jedyna, która zwróci uwagę w towarzystwie dam. Zresztą szminka jest jak alkohol. Zatracamy miarę. I dlatego niekiedy nie wystarczy spojrzeć w lustro: lepiej poradzić się osoby zaufanej! Kobiety dziś zatracają własny urok, bo tworzą sobie „mundur" twarzowy: szminkują się zawsze jednakowo! Oto jeszcze jeden błąd, którego należy unikać. Prawda! Są wyjątki: mam na myśli kobiety brzydkie, zyskujące na piękności przez egzotyczne niemal kolorowanie twarzy. Tu możemy tylko skłonić się z podziwem, jeśli kobieta potrafi wytworzyć sobie ciekawą osobowość. Lecz to, powtarzamy — wyjątki! Kobieta młoda, o pięknej cerze, pokrywająca policzki plackami szminki, zasługuje na naganę, podobnież, jak kobieta piękna, usuwająca całkowicie brwi naturalne.

— ...?

— Na zakończenie, powiem pani słów kilka o nowości fryzjerskiej: pióra z włosów, o kolorze naturalnym na dzień i w kolorze sukni na wieczór, pozwalające w ciągu pięciu minut uzyskiwać fryzurę żądaną, naturalną, oryginalną; by nadać w zależności od humoru, taki czy inny wyraz twarzy. Powtarzamy: powinno się tylko akcentować własną piękność, podkreślać szminką, a nie zmieniać twarzy. *Wasza Feel.*



HOCKI KLOCKI

HUMOR ZAGRANICZNY:

Straszny sen.



— Helu! Co za straszna rzecz! Śniło mi się, że byłem amerykaninem.
— Cóż w tem strasznego?
— No jakże? Pomyśl: nie umiem ani słowa po angielsku.

„SŁOWNIK SPORTOWY".

Amator: Sportowiec, który zarabia więcej niż zawodowiec.
Bokserski mistrz świata: jednoroczny ochotnik.
Ciężki problem dla dyrektora banku: jak dostać zadarmo bilet na mecz?
Dziennikarz sportowy: zdaniem aktywnych sportowców najbardziej niepotrzebne indywiduum na świecie.
Esteta: krzyczy na zawodach najgłośniej „fuj".
Football: gra towarzyska, polegająca na wzajemnem polowaniu na kości.
Golf: Narodowa choroba Anglosasów, zazwyczaj mało niebezpieczna.
Idjota: patrz kalosz.
Jan Kiepura: znakomity sędzia łyżwiarski. Z zawodu handlarz starymi zegarami.
Kalosz: patrz sędzia.
Lekkoatletyczna bieżnia: miejsce przechadzek i igrzysk dla niepotrzebnych funkcjonarjuszy na zawodach lekkoatletycznych.
Manager: człowiek, który stara się oto, aby jego pupilom nie zostało zbyt dużo pieniędzy.
Narybek sportowy: sześćdziesięcioletni junjor, schwytany na wędkę w innym klubie.
Olimpijska przysięga: składana na szczęście tylko co cztery lata.
Poprzeczka: urządzenie pomocnicze dla bramkarzy celem ochrony przed „strzałami".
Rekord: Fantom, który stworzono tylko poto, aby móc go pobijać co chwilę.
Sędzia: patrz idjota, patrz kalosz. (Według jednogłośnej opinji przepłacony ignorant).
Usunięcie z boiska: straszliwa niesprawiedliwość, jeśli spotka gracza własnego klubu.
Wyrok sędziowski: humorystyczna wkładka na zawodach dla rozweselenia publiczności. (Jest zawsze niesłuszny).
Zawodowiec: sportowiec, który dostaje mało pieniędzy, choć potrzebuje ich dużo.

R.

ZABAWA Z CZASÓW KONFUCJUSZA — GRĄ TOWARZYSKĄ.

Chińczycy są narodem o prastarej kulturze, narodem wysoce oryginalnym — czasem tajemniczym. Nawet zabawy Chińczyków odznaczają się pomysłowością, oryginalnością i robią wrażenie, jakby wymyślaniem ich zajmowali się filozofowie. Jedną z tych gier jest „Budda, Smok i Mrówka". Do gry tej potrzebne są, jak do wielu innych — dwie osoby, chcące wygrać, przegrać, lub poprostu zabawić się. Współgrające osoby, biorące udział w tej zabawie, wysuwają znienacka palec duży, palec wskazujący, albo wreszcie palec mały. Reguła gry jest prosta. Budda, którego w tej grze reprezentuje palec duży, pożera smoka, uosabianego przez palec wskazujący, smok zaś zjada mrówkę, która jest małym palcem. Niekoniec na tem. Mrówka, aczkolwiek mała i niepozorna, toczy i niszczy Buddę.

Przypuśćmy więc, że jedna osoba wysunęła palec wskazujący, druga zaś palec mały. Wygrywa palec wskazujący — smok, gdyż zjada on mrówkę. A teraz inna kombinacja. Osoby grające wysunęły palec duży i palec mały. Wygrywa osoba, która wysunęła palec mały, bowiem mrówka toczy Buddę. Kierując się hierarchją postaci uosabianych przez trzy palce ręki łatwo nauczymy się grać.

Zabawę w „Buddę, smoka i mrówkę" prezentujemy naszym Czytelnikom w przekonaniu, że stanie się ona niezłą rozrywką, zwłaszcza dla tych, którzy mają predylekcję dla chińszczyzny.



Ilustracja powyższa przedstawia trzy palce, a zarazem trzy pionki gry w „Buddę, smoka i mrówkę".

Zdolna sprzedawczyni.



— Te pończochy mogę państwu polecić...

LIFAR W POLSCE



Sergjusz Lifar, as francuskiej sztuki choreograficznej, w jednej ze swych najbardziej efektownych póz tanecznych. Studjo „Piaz" — Paryż.

Od wielu lat wszystkie stolice świata rozbrzmiewają peanami zachwytu na cześć Sergjusza Lifara, genjusza tańca.

Obecnie powitaliśmy go w Warszawie. Komu i czemu zawdzięczamy przyjazd Lifara do Polski?

Karolowi Szymanowskiemu i jego „Harnasiom".

Lifar przygotowuje tańce w „Harnasiach", których premjera w paryskiej operze ma się odbyć już w maju. Lifara zaprosił Szymanowski do siebie do Zakopanego, gdzie mu pokazał nasze góry, górali, ich tańce, stroje i obyczaje, jednem słowem to wszystko, z czego wyrosły, na czem się opierają „Harnasie", do których przygotowała kostjumy i dekoracje Zofja Stryjeńska.

Wielka Opera Paryska ma wystawić na wiosnę prapremjerę „Harnasiów". Sergjusz Lifar jest od pięciu lat baletmistrzem Opery Paryskiej. Jemu więc przypadnie w udziale pierwsze opracowanie taneczne tego baletu. Aby poznać tańce zbójnickie, pojechał na zaproszenie Szymanowskiego do Zakopanego, by studjować tańce naszych górali na miejscu. Ambasada polska w Paryżu pragnęła uczcić go, zapraszając na występ w Warszawie. Ze względu na te starania francuskie Ministerstwo Sztuk Pięknych, zezwoliło Lifarowi w drodze wyjątku na jeden występ w Warszawie.

Jak się okazało, bawił w Warszawie już nie po raz pierwszy. W jakich okolicznościach poprzednio? I jak doszedł do takiej sławy?

Opowiada nam o tem w sposób następujący:

— Urodziłem się w Kijowie w burzliwym roku 1905, jako syn urzędnika państwowego, pochodzącego z zamożnej niegdyś rodziny ziemiańskiej.

— Podobno w żyłach pańskich płynie również krew polska? — przerywamy.

— Dokładnie tego nie wiem, ale coś takiego musiało być, bo gdy w roku mego urodzenia włościanie spalili dwór mojego stryja, spłonęła między innemi wielka i bardzo cenna bibljoteka książek polskich...

Opowieść toczy się dalej:

— Urodziłem się w czasie burzy i w czasie jej trwania dojrzewałem. Jako kilkunastoletni młodzieniec szalałem w latach wojny i rewolucji, zaciągając się ochotniczo do wojska białego i czerwonego naprzemian, więcej porywany pędem wyładowania energji, niż ideowością. Aż tu pewnego dnia koleżka powiedział mi: „Chodź, pogapimy się na ładne dziewczynki!" i zaprowadził mnie do... szkoły baletowej, gdzie wykładała wówczas Bronisława Niżyńska (siostra wielkiego Wacława, mego niedoścignionego wzoru i ideału). Tu zaznałem nagle olśnienia. Poczułem, że taniec artystyczny musi się stać treścią mego życia. Rzuciłem wszystko i wbrew straszliwym sprzeciwom oburzonej rodziny wstąpiłem do szkoły baletowej. — Niestety. Niżyńska wnet ją opuściła, emigrując zagranicę. Została baletmistrzynią we Wiedniu, a potem u Djagilewa w Paryżu. Po dwóch latach wezwała do siebie pięciu uczniów kijowskich. Jednego z nich ja zastąpiłem. Pojechałem...

Tu zaczyna się moja tragedja. Miałem niebywałe trudności przy przekraczaniu granicy. Aresztowano mnie. Uciekałem! Znów łapali. Już — już miałem być rozstrzelany... Cudem wydostałem się z tego piekła, przybywając do Warszawy i tu... wpadłem z deszczu pod rynnę...

— Jakto? Tu przecież chyba pana nie rozstrzeliwano, ani nie więziono?

— Gorzej... pozostawiono mnie samemu sobie... Bez grosza przy duszy!... bez paszportu. A cóż znaczy człowiek bez paszportu? Niech pan sobie wyobrazi, że w banku leżały dla mnie pieniądze, przysłane mi na podróż przez Djagilewa, ale nie mogłem ich podjąć, nie mając najmniejszego dowodu osobistego. Mój wygląd obszarpańca (zostałem na granicy przez sowieckich żołnierzy ze wszystkiego ograbiony), nie wzbudzał najmniejszego zaufania. Mieszkałem... na ławce w al. Ujazdowskiej, lub w ogrodzie Saskim. Jedynem mojem pożywieniem całodziennem była wyproszona bułka, lub kawał czerstwego chleba. Noclegi, gdzieś na Nalewkach, czterdzieści osób w dusznej piwnicy... Byłem u kresu rozpaczy. Coprawda, przybyłem z kraju nędzy. Ale tam cierpieli wszyscy. Tu zaś, patrząc na przepych pałacyków al. Ujaz-



Lifar w tańcu greckim. Studjo „Piaz" — Paryż.



Karol Szymanowski w garderobie Lifara w czasie występu w Warszawie. Fot. „As".



Lifar w tańcu charakterystycznym. Studjo „Lipnitzki" — Paryż.

dowskiej, widząc przez okna, bale, choinki... wydałem się sobie taki nędzny, ja, tułacz bezdomny, przecież też lepsze czasy pamiętający... Mijały długie tygodnie... Kilkakrotnie byłem bliski samobójstwa. Byłbym je popełnił, gdyby wreszcie pewni państwo nie zajęli się mną i nie dopomogli do otrzymania paszportu. Do dziś dnia mam polski paszport... Odrazu otrzymałem pieniądze i pojechałem... Wszystkie moje męki i udręki opiszę w książce, która ukaże się niedługo...

Gdy tylko Lifar dostał się do Djagilewa, wszystko poszło gładko, więcej nawet. Nikt jeszcze tak szybko nie stąpał po szczeblach karjery artystycznej. Jako 15-letni chłopiec zaczął się uczyć tańca, jako 20-letni już podbił cały świat, jako 25-letni został baletmistrzem Opery Paryskiej, dziś, mając zaledwie 30 lat jest już u szczytu sławy.

Jest cały przepojony tanecznością, rytmem i teatrem tylko żyje... Gdy wszedł w stare mury teatru Wielkiego, wcale nie chciał z nich wyjść... A gdy patrzał na ćwiczenia naszego zespołu baletowego, mówił, że mu serce rośnie na widok zwłaszcza małych dziewczynek, zaprawiających się w kunszcie tanecznym. Miał przyjechać z partnerką, ale przybył ostatecznie sam. Na nasze pytanie w tej sprawie odparł:

— Ja miałbym tu przywozić tancerkę? Przecież wy tu macie najzdolniejsze siły taneczne świata. Stąd się najwyżej wywozi, jak to czynił zawsze Djagilew.

Jako partnerki wybrał sobie trzy gracje zespołu teatru Wielkiego: Barbarę Kaczmarewiczównę, Antoninę Nowicką oraz dwukrotną laureatkę konkursów międzynarodowych — Olgę Sławską. Podobały mu się także na pokazie specjalnym: Jadwiga Hryniewicka i Ola Glinkówna, które specjalnie oklaskiwał. Powiedział:

— Z takiemi talentami, jakie macie w zespole, podjąłbym się zawojować cały świat. Zbladłyby dawne „ballets russes" (które, zresztą, składały się niemal wyłącznie z elementu polskiego) wobec „ballets polonais". Zajmijcież się tem wreszcie!... Trudno o lepszą propagandę...!

Oby ten zew nie przeminął bez echa...

M. L.

To warto poznać.

NOWE PŁYTY.

Utwory Chopina, z filmu z życia tego wielkiego kompozytora p. t. „Walc pożegnalny" — nagrała ostatnio wielka orkiestra symfoniczna pod dyrekcją M. Alojzego Melichara. Oto tytuły: Preludjum nr. 20, Walc op. 34 nr. 2, Mazurka op. 33 nr. 3, Walc op 69 nr. 1, Walc op. 18, Walc op. 64 nr. 1 — Polydor 10260. Potpouri; Nokturn op. 32 nr. 1, Walc nr. 7, Preludjum op. 28 nr. 4, Mazurka op. 7 nr. 1 — Polydor — 10261.

Znany aktor rewjowo-kinowy, Adolf Dymsza śpiewa dwie nowe piosenki z filmu „Antek policmajster". „Oj radi - radi - rida" (Polka) i „Co bez miłości wart jest świat" (Fox) oto tytuły piosenek. Syrena 9402.

„Capri" slow-fox (Kennedy-Grosz) to tytuł granej dziś w całej Europie kompozycji tanecznej. Wykonanie orkiestry Lew Stone wraz z Nat Conella, który śpiewa refren chwilami lepiej niż Smith. Decca F 5132.

NOWE KSIĄŻKI.

Piękne godziny pędzić można nad *„Listami"* Katarzyny Mansfield, głośnej pisarki angielskiej, która zmarła przed dziesięciu przeszło laty. Jej „Listy" przełożone pięknie przez Marję Godlewską (Tow. Wyd. „Rój") to spowiedź duszy niezmiernie subtelnej. Pełno tam dojrzałej głębi życiowej, cudownych obserwacyj i spostrzeżeń. Książka ta staje się jednem z najhardziej pięknych przeżyć, jakie nam dać może literatura.

„Wielkie miasto Anatol" przypomina nam świetnego pisarza Bernarda Kellermanna, autora „Ingeborgi", „Yester i Li" oraz sensacyjnego „Tunelu", który niedawno doczekał się sfilmowania. Spora powieść Kellermanna (przekład Zbigniewa Grabowskiego, nakład Trzaska, Evert, Michalski) jest powieścią o nafcie, opiewanej już przez Uptona Sinclaira w powieści „Nafta". Pokazuje nam rozwój małej, zabitej deskami mieściny w wielkie miasto o przemysłowem tempie życia. Powieść posiada dramatyczne napięcie wysokiego gatunku, doskonały rysunek osób i typów.

„Żywot romansowy" słynnego polityka angielskiego d'Israeli'ego skreślony przez Andrzeja Maurois, znanego w całym świecie autora jest dużym sukcesem jego wytwornej sztuki pisarskiej. Lekko i barwnie kreśli nam dzieje tego męża stanu, który łączył politykę z poezją. Jest to lektura czarująca, bogata w spostrzeżenia życiowe, książka rasowego pisarza. Pojawiła się nakładem Instytutu Wyd. „Renaissance" i nosi tytuł „D'Israeli".

Na dziś wystarczy — reszta na przyszły raz! *(g)*



Co warto zobaczyć *w Warszawie?* Niemal wszystkie przedstawienia, a przedewszystkiem Junoszę Stępowskiego w „Henryku IV" jako Jenialkiewicza w „Wielkim (Teatr Narodowy) Zelwerowicza człowieku do małych interesów", kupiwszy równocześnie świetne „Obrachunki Fredrowskie" Boya, by w teatrze i z tej książki poznać prawdziwego wielkiego Fredrę, Jaracza w „Panu Brotonneau" (Teatr Aktora) i M. Przybyłko-Potocką w „Nadziei" Bernsteina (Teatr Polski). W ciekawej tej sztuce Przybyłko-Potocka „gra zadobrze" jak powiada Skiwski, „przeraża chwilami doskonałością swego wyrazu..." jak stwierdza Boy. Warto też w Teatrze Małym zobaczyć najnowszą komedję Kiedrzyńskiego „Cudzik i Ska", lekkostrawne przedstawienie z Fertnerem.

We Lwowie ciekawa prapremjera „Krzyk" Aleksandro Stefani i Feruccio Cerio, którym sam Mussolini życzył w Polsce powodzenia. Zdobyli je przedewszystkiem dzięki świetnej kreacji Białoszczyńskiego.

Teatr Ziemi Pomorskiej w Toruniu gra sztukę Morstina o Koperniku: zapowiada też to Poznań.

W Teatrze im. J. Słowackiego w Krakowie: przepiękne renesansowe widowisko „Poskromienie złośniey" Szekspira, „Ptak" Szaniawskiego (w obu doskonale zgrany zespół z J. Osterwą na czele) i „Mąż trzystu tysięcy" w opracowaniu Anatola Krakowieckiego (miła, pełna kapitalnych scen komedjo-farsa). Premjera: „Teorji Einsteina" Cwojdzińskiego, ciekawej sztuki, która w Warszawie w Instytucie Reduty, przygotowana przez Osterwę, osiągnęła przeszło 50 przedstawień.

O innych teatrach i innych przedstawieniach za tydzień. *(swb)*



Programy transmitowane przez wszystkie stacje polskie.

Niedziela 3. marca 1935.

13.15—14.00: Uroczysta inauguracja I-go Międzynarodowego konkursu skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego.

16.40—17.00: Recytacje prozy: „W szkole austrjackiej" fragment z pow. Zygmunta Nowakowskiego „Rubicon".

18.00—18.45: Muzyka lekka w wyk. Chóru Juranda i Jana Żyńskiego (fortepian).

20.00—20.30: „Na wesołej fali lwowskiej".

21.30—22.00: Transmisja z Lipska: Koncert europejski w wyk. ork. symf. pod dyr. Weisbacha.

Poniedziałek 4. marca.

18.30—18.45: „Encyklopedja mówiona" inż. Stanisława Broniewskiego.

21.00—22.00: Koncert symfoniczny. Muzyka polska w wyk. ork. symf. Pol. Radja pod dyr. Grzegorza Fitelberga.

22.15—23.00: Koncert polskiej kapeli ludowej Dzierżanowskiego i Suchockiego, z przyśpiewkami.

Wtorek 5. marca.

18.15—8.30: „Miłość i krew cygańska" — fragment słuchowiskowy oparty na balladzie o królu cygańskim, E. Zegadłowicza.

20.00—20.45: „Orkiestra się spóźniła" — wesoła audycja muzyczna.

21.00—22.00 „Klocki" — karnawał chłopski T. Sygietyńskiego.

Środa 6. marca.

15.45—16.30: Koncert zespołu Tadeusza Seredyńskiego.

18.15—18.30: Wesoły sketsch: „Nietaktowny człowiek" według Molnara.

21.00—21.30: Koncert Szopenowski w wyk. H. Sztompki.

22.15—23.05: Koncert zespołu nagrodzonego na konkursie P. R.

Czwartek 7. marca.

15.45—16.30: „Małe Suity" w wyk. Orkiestry Kameralnej pod dyr. dr. A. Hermana.

18.15—18.30: Szkic literacki: „Mój warsztat literacki" wygł. p. Stanisław Miłaszewski.

21.00—21.45: Teatr Wyobraźni nadaje słuchowisko pt. „Goście na kopalni" Andrzeja Sowy, odznaczone III-cią nagrodą na konkursie słuchowiskowym P. R.

22.15—23.00. Koncert utworów Karola Kurpińskiego z powodu 150-ej rocznicy jego urodzin (6. 3. 1875), w wyk. ork. symf. P. R. pod dyr. Józefa Ozimińskiego, Irena Gadejska (sopran), Maurycy Janowski (tenor), A. Braniec (trąbka).

Piątek 8. marca.

15.45—16.30: Audycja operetkowa: „Kochanka z ekranu", radjofon. skrót operetki Stacha i Petersburskiego w wyk. zespołu Operetki Wileńskiej.

(19.15—19.25: Pogadanka: „Rozmówka o bibliotece").

19.35—19.50. Koncert zesp. mandolinistów „Halka" pod dyr. K. Bończy-Tomaszewskiego.

20.15—22.30: Koncert symfoniczny w wyk. Ork. Filharmonji Warszawskiej pod dyr. K. Wiłkomirskiego, chór Świętokrzyski oraz soliści: Olga Śliwicka (fort.), Szymon Goldberg (skrz.).

Sobota 9. marca.

14.45—15.30: Koncert Zespołu Zdz. Górzyńskiego.

17.50—18.00: Pogadanka Bruno Winawera.

20.00—20.45: Transmisja z Wiednia: „W rytmie epoki naszych czasów" — wesoła audycja muzyczna w oprac. Hruby'ego.

21.00—22.00: „Walc w różnych formach" — koncert w wyk. ork. symf. P. R. pod dyr. Ignacego Neumarka z udz. Lucyny Szczepańskiej (śpiew).

ZAKŁADY GRAFICZNE „ILUSTROWANEGO KURYERA CODZIENNEGO" POD ZARZĄDEM FELIKSA KORCZYŃSKIEGO W KRAKOWIE